



seksualisty (124)

Szanowna Pod redakcją

KONKURSOWA FOTOGRAFIA Z WYBRANIE

PIEKNE



Bez troskich i ciepłych rodzinie Świąt

życzy Redakcja

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

51

52

(323-324)

1986-12-21
1986-12-28

cena
25 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY (jak i wszystkie nie podpisane zdjęcia w numerze)

W NASTĘPNYM NUMERZE, KTÓRY UKAŻE SIĘ JUŻ 30 GRUDNIA: noworoczne „Kontakty” — czego się spodziewają wysokomazowiecczanie po jubileuszu miasta — radna Ewa Kosk nie przespała żadnej kadencji, a do tego pisać potrafi — pierwszy obrazek z przysiółka — „Nocny napad” — Będzie tanio, trzeźwo i dyskretnie — obiecuje właściciel motelu przy ul. Sikorskiego — cd. polemiki z „Żartem” — Bruce Springsteen.

DZIAŁALNOŚĆ GOSPODARCZA kółek rolniczych była ostatnio przedmiotem zainteresowania członków Egzekutywy KW PZPR w Łomży. Oceniono pracę SKR-ów i przyjęto wnioski WZRKiOR w sprawie udzielenia pomocy przez służby związku niektórym spółdzielniom we wprowadzaniu rachunku ekonomicznego i właściwej organizacji pracy. Egzekutywa zaopiniowała również skład Rady Redakcyjnej tygodnika „Kontakty”. Jej przewodniczącym jest znany działacz partyjny, Waldemar Szpaliński, twórca nazwy pisma.

NA WALNYM ZGROMADZENIU członków Stowarzyszenia Prasoznawczego „Stopka” w sali kinowej redakcji „Kontaktów” spotkali się miłośnicy historii i kultury naszego regionu z całego kraju. Od chwili powstania w 1981 r. z inicjatywy Stowarzyszenia zorganizowano Muzeum Straszycel, Demonów i Niesamowitości oraz czytelną dawną i współczesną prasę regionalną. Niezależność finansowa „Stopka” zdobyła organizując loterię fantową „Kontaktowa”. Zysk wielkości 10 294 269 zł przeznaczono na wspieranie działań społecznych i kulturalnych w regionie oraz finansowanie działalności statutowej. Najpilniejszym zadaniem członków będzie stworzenie — przy współpracy Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego i Ludowej Spółdzielni Wydawniczej — Łomżyńskiej Oficyny Wydawniczej, która skupi rozproszone inicjatywy edytorskie i zapewni sprawne wydawanie pozycji regionalnych, książek związanych ze staropolszczyzną i literaturą faktu. Trwa już druk „Roku polskiego” Zygmunta Glogera i „Pieśni kurpiowskich” w serii miniaturk bibliofilskich. Ukazą się również „Listy miłosne”. W przygotowaniu do druku znajduje się seria promocji reporterskich. Najważniejszym i zarazem najtrudniejszym przedsięwzięciem „Stopki” i Łomżyńskiego Towarzystwa Naukowego im. Wągów będzie zorganizowanie w Łomży naukowej redakcji dzieł wszystkich Zygmunta Glogera. Prace nad powołaniem tej placówki są już zaawansowane. Do Rady Stowarzyszenia weszli: Stanisław Zagórski (prezes), Henryk Gała, Grzegorz Flejter (wiceprezes), Maria Tocka (sekretarz), Adam Dobroński, Roman Engler i Stanisław Radziszewski.

DLUGA JESIEŃ sprzyjała rolnikom. Udało się nadrobić wszystkie opóźnienia w pracach polowych. Nawet jeśli ktoś spóźnił się z siewami i jesienią orką, aura mu pomogła. W tym roku, jak nigdy wcześniej, przygotowano ziemię do prac wiosennych. Teraz rolnicy czekają na śnieg, który przykryje oziminy i rzepak, ochroni przed mrozami i zasili wodą suchą glebę.

OSRODEK POSTĘPU ROLNICZEGO w Szepietowie rozpoczyna zimowy cykl szkoleń. Każdy ze 110 instruktorów zobowiązany został do przeprowadzenia 2 zajęć na tematy najbardziej interesujące społeczność wiejską w jego rejonie działania. Fachową pomocą wsi służyć będą również agronomowie społeczni, wybrani spośród najlepszych rolników. Największym zainteresowaniem cieszą się szkolenia na temat kompleksowej uprawy zbóż i buraków.

STRONNICTWO DEMOKRATYCZNE w Łomży zrzesza 417 członków. Najliczniejsze jest Koło Rzemieślników przy Cechu Rzemiosł Różnych. Działają również trzy Kola Młodych Demokratów, które organizują kluby dyskusyjne otwarte dla młodzieży spoza Stronnictwa.

W ZORGANIZOWANYM WYPOCZYNKU zimowym uczestniczyć będzie ok. 15 000 dzieci z województwa łomżyńskiego, z tego 3000 poza miejscem zamieszkania. Tradycyjnie wycieczki dzieciom organizują: Towarzystwo Przyjaciół Dzieci — kolonie dla dzieci ze wsi w Łomży, Kolonie i Zambrowie; Związek Młodzieży Wiejskiej — obozy dla uczniów szkół rolniczych w Poroninie; Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej — zimowiska w

Szklarskiej Porębie, Supraślu i Sobieszowie; Szkolny Związek Sportowy — 12 obozów sportowych w szkołach, które posiadają dobrze wyposażoną salę gimnastyczną (Mały Płock, Grabowo, Ciechanowiec, Zambrow); ZHP — obóz w Piotrkowie Trybunalskim w ramach wymiany z tamtejszymi harcerzami oraz liczne kolonie dochodzące. Niektóre zakłady przemysłowe samodzielnie przygotowują wypoczynek zimowy dzieciom swoich pracowników: Łomżyńskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Narew” — w Górach Świętokrzyskich (Święta Katarzyna), Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego — w Suchej Beskidzkiej, Zakłady Płyt Wiórowych w Grajewie — w Świeradowie Zdroju.

X-LECIE ISTNIENIA obchodzi Wojewódzka Federacja Sportu w Łomży. Zrzesza ona 15 klubów z 43 sekcjami wyczynowymi, w których pracuje 15 trenerów i 31 instruktorów. Do największych osiągnięć łomżyńskiego sportu można zaliczyć 51 medali na Ogólnopolskich Spartakiadach Młodzieży (18 złotych, 17 srebrnych i 16 brązowych). Mamy również mistrzów i wicemistrzów Polski w kajakarstwie i podnoszeniu ciężarów — członków kadry narodowej. Największą przeszkodą w rozwoju łomżyńskiej kultury fizycznej są trudności w zapewnieniu fachowej kadry szkoleniowej (niskie płace, brak mieszkań) oraz ubóstwo i niski standard bazy sportowej.

NIEDOSTATEK PRACOWNIKÓW z wyższym wykształceniem odczuwa stolica naszego województwa. Na 2789 osób, które wykonują zawody wymagające wyższego wykształcenia, tylko 1815 (65,1 proc.) spełnia ten warunek. Najbardziej brakuje ekonomistów (367 osób), specjalistów nauk humanistycznych (316), inżynierów w zawodach technicznych (99), prawników (75). Stosunkowo najlepiej obsadzone są stanowiska inżynierów rolnictwa i leśnictwa (brakuje 10 osób).

EWA KOSK z Ciechanowca, radna WRN, zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie „Odrodzenia” na

wspomnienia pod hasłem „Moje dokonania w radzie narodowej”. Nagrodzoną pracę wydrukujemy w najbliższym numerze.

TRZY POKOJE — salon, „łosiowy” i myśliwski (wraz z korytarzami) — wyposażyło Muzeum Przyrodnicze w Drozdowie na inaugurację swojej działalności (10.12 br.). Dalsze trzy, mające pomieścić ekspozycję ornitologiczną i botaniczną, powstały podczas pleneru „Drozdów '85”. Uroczystość otwarcia uświetnił występ Marii Malewicz-Madej, która wykonała pieśni Lutosławskiego, Chopina, Moniuszki i Karłowicza.

POPREDNIKOM TOWARZYSTWA Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej poświęcona była sesja naukowa zorganizowana przez Zarząd Główny TPZŁ. Przedstawiono na niej wiele ciekawych materiałów dokumentujących historię działających w latach 1916—1939: Kola Łomżan, Akademickiego Kola Łomżan oraz Stowarzyszenia Wychowanków Średnich Szkół Łomżyńskich.

SĄD REJONOWY w Zambrowie skazał Ryszarda Kotowskiego (ur. w 1967 r.) na 4 lata pozbawienia wolności i nawiązkę w wysokości 15 000 zł. Skazany będąc w stanie nietrzeźwym, podczas zatrzymywania, ciężko zranił nożem osobę pomagającą funkcjonariuszowi MO. Sąd zezwolił na opublikowanie personaliów sprawy.

STOWARZYSZENIE LUDZI CIERPIĄCYCH na Padaczkę pomaga w leczeniu i rehabilitacji. Wszyscy zainteresowani mogą pisać pod adresem: 15-842 Białystok, ul. Fabryczna 57.

NOWOSCI LITERATURY społeczno-politycznej proponuje wypożyczalnia Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łomży. Oto niektóre tytuły: Antoni Czubiński — „Czerwiec 1956 w Poznaniu”, Andrzej Halimarski — „Spór o Tajwan”, Józef Kalesa — „Perspektywy wyjścia z kryzysu”, Jerzy Klechta — „Salwador — kronika nienawiści”, Christian Roulette — „Jean Paul II — Antanow — Agca”.

„RZECZPOSPOLITA” (nr 270) pisze o ucieczce młodych kobiet ze wsi (również łomżyńskiej), „Gromada” (nr 137) przedstawia portret nauczyciela Leszka Waszczyńskiego ze

wsi Dawidowizna, (gm. Goniądz), „Życie Warszawy” (nr 273) pisze o dialogu z Kościołem i przytacza fragment kazania wygłoszonego w Łomży, „Życie Gospodarcze” (nr 46) pisze o opiece sanitarno-weterynaryjnej, „Głos Wyrzeża” (nr 200) o kolleńskim handlu, „Trybuna Ludu” (nr 290) o aferze z meblami „Nawada”.

MOCNYM UDERZENIEM zakończył sezon szermierze łomżyńskiej „Zorzy”. Na rozegranych w Tarnowie Mistrzostwach Polskiej Szkoły Związku Sportowego złoty medal w kategorii juniorów zdobył florecista Marek Serwatka (Zespół Szkół Mechanicznych). Wśród juniorów młodszych trzecie miejsce wywalczył Jarosław Lasota (Liceum Ogólnokształcące). W punktacji klubowej „Zorza” zajęła czwartą pozycję w kraju.

PORA JUŻ ROZPOCZĄĆ przygotowania do IV Turnieju Tenisa Stołowego o Puchar „Kontaktów”, który zostanie rozegrany w trzech grupach wiekowych (urodzeni w latach 1972—73, 1974—75 oraz 1976 i później) w kategorii dziewcząt i chłopców. Szczegółowy regulamin przedstawimy w jednym z najbliższych numerów.

MUZEUM ROLNICTWA w Ciechanowcu zaprasza na nową wystawę czasową pt. „Warsztat wiejskiego fotografa”.

tylko jedno pytanie

Jak przebiega kampania sprawozdawczo-wyborcza w najważniejszych ogniskach PZPR — podstawowych organizacjach partyjnych? Z tym pytaniem zwróciliśmy się do sekretarza Komitetu Wojewódzkiego, **MIECZYŚLAWA BRZEZICKIEGO**.

— Zebrania odbyły się już w około 60 proc. POP. Trochę to za wcześnie, aby formułować zasadnicze wnioski. Zależy nam bardzo, by podstawowe organizacje wypracowały bardzo konkretne programy, by każde zadanie zostało dokładnie określone. Jeśli np. byłaby to POP na wsi, najlepiej, gdyby skupiła swoich członków i społeczność wiejską wokół budowy szkoły, ośrodka zdrowia, drogi, wodociągu czy innych przedsięwzięć. W przedsiębiorstwach przemysłowych uwaga organizacji partyjnych skupia się na atestacji stanowisk pracy i wspomaganie ruchu wynalazczego. Programy są różne: niektóre bardzo konkretne, inne znów lakoniczne. Większej konkretności służyć ma również powrót do wyznaczenia zadań indywidualnych poszczególnym członkom. Ta forma była już kiedyś stosowana. Jak dotąd, nie czuję się zadowolony, ale nie mam też szczególnych powodów do zadowolenia: nowe toruje sobie drogę bardzo wolno.

zaprosili nas

Samorząd Szkolny i Rada Pedagogiczna Zespołu Szkół Rolniczych w Marianowie — na Szkolny Kongres Pokoju; Biuro Wystaw Artystycznych w Łomży — na otwarcie wystawy pokonkursowej: „Najlepsze dzieło plastyczne roku 1986”; Łomżyńskie Towarzystwo Naukowe im. Wągów — na referat pt.: „Burmistrzowie miast łomżyńskich w okresie międzywojennym 1830—1866”; Łomżyńska Orkiestra Kameralna — na koncert; Urząd Miejski w Łomży — na posiedzenie komisji planu miejscowego; Wojewódzki Zarząd Inwestycji Rolniczych — na spotkanie z rolnikami-laureatami konkursu „Zielone złoto — bogactwo rolnika”; Zarząd Klubu Publicystów Lotniczych — na spotkanie na temat: „Rozwój usług rolniczych w rolnictwie i leśnictwie w 1986 r. na tle 15-letniej działalności Zakładu Usług Agrolotniczych”; Prezydium Zarządu Wojewódzkiego Związku Prawników Polskich w Łomży — na posiedzenie plenarne.



Problemy wydawnicze reportażu były tematem VIII Sesji Krajowego Klubu Reportażu, która odbyła się w Starej Wsi koło Węgrowa w woj. siedleckim. Wśród zaproszonych gości znaleźli się przedstawiciele największych krajowych wydawnictw. Wręczono nagrody klubowe im. Ksawerego Pruszyńskiego. Otrzymali je ex aequo Marek Rymuszko — „Prawo i Życie” i Wojciech Pielecki — „Interpress”.

zdanie tygodnia

— Wszelkie komisje służą do tego, aby zdejmować odpowiedzialność z tych, którzy mają podejmować decyzje.

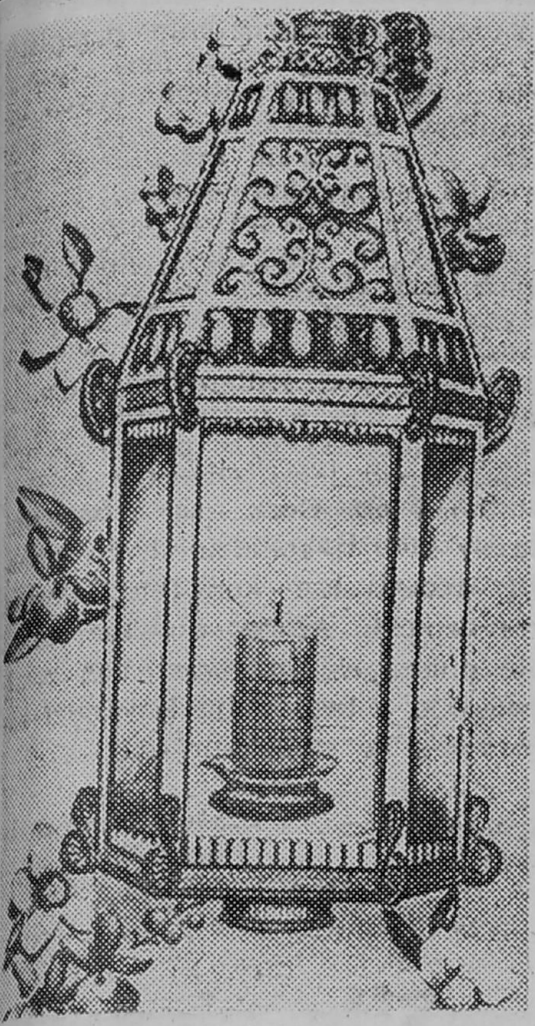
Feliks Wejer, pracownik Zakładów Płyt Wiórowych w Grajewie

myśl z atestem

„Z żadnego punktu widzenia nie można być ślepym.”

Stanisław Jerzy Lec





Czyżby kryzys i w kontaktach rodzinnych? Nasz redakcyjny zamysł wydrukowania listów świątecznych, odzwierciedlających klimat polskich świąt, staropolską serdeczność, gościnność, życzliwość, tęsknotę do najdroższego na świecie miejsca — miejsca urodzenia, która zawsze w tym okresie odzywa najsilniej, sprawiła wiele kłopotu. Gros rodzin oferowało nam kartki ze zdawkowym, gotowym już nadrukiem: „Wesołych...”, „Szczęśliwego Nowego...”. Tylko w nielicznych domach znaleźliśmy, i to też nieliczne, piękne świąteczne listy. Aż chce się przytoczyć zwierzenie jednego ze starszych łomżyńiaków: „Tylu mamy uczonych, a tak mało piszą.”

LISTY

spod wigilijnej gwiazdy



Jest dyrektorem dużego przedsiębiorstwa. Mieszka w Warszawie już od kilkunastu lat, ale wciąż najbliższa jest mu jednak Łomża.

Kochana Mamo!

Zapewne masz mi to za złe, że nie odzywałem się do Ciebie prawie przez cały rok. Tak to z człowiekiem już jest, że gdy oddali się od swoich stron rodzinnych, zakopie w obowiązki, to myśli tylko o tym i na nic nie ma czasu. Gdy zbliżają się święta, łapie za pióro, kartkę papieru i stara się to wszystko nadrobić. Ale czas już minął. Można dużo napisać, wspominać, ale nie da się już tego cofnąć.

U mnie, na dyrektorskim stołku, bez zmian. Na razie mam spokój, jak u Pana Boga za piecem. Nikt mnie nie kontrolował. Wyniki mam niezłe. Ty, Mamo, pewnie już skończyłaś swój niewielki ogródek, gdyż miałas na to bardzo dużo czasu. Zima jeszcze nie nadeszła, za to Łomża odczyta Ciebie już ze wszystkich stron i tylko patrzeć, kiedy zechcą Cię stamtąd przesiedlić. Rozumiem Twój niepokój i niechęć do nowego budownictwa, do nowych warunków w bloku. Na pewno nie będzie tam już nigdy tego naszego rodzinnego klimatu, jaki zawsze mieliśmy pod tym niskim, ale zawsze dostatnim dachem.

Ostatnio coraz więcej słyszę o Łomży. Coraz więcej pisze o niej prasa centralna. Zarzucają nam nieraz, że mamy miasto bez wyrazu. Jest to prawda. Poza Narwią nie ma w nim nic szczególnego. Tylko bloki, te same, gdzie wszędzie. Nadal hala targowa — straszdyło w samym centrum. Wyboiste chodniki. Sam się dziwię, czemu to miasto jest mi takie bliskie, drogie i wielkie, bo żadnym innym niezastąpione. Jest w nim jednak coś, co napawa mnie dumą — to sami łomżyniacy. Tych rozpoznam wszędzie, a im dalej od Łomży, tym bardziej serdeczni, swoi, bliscy.

Byłem na jubileuszu Hanki Bielickiej. Wypadała znakomicie. Zebrało się — jak na rodzinny zew — całe łomżyńskie grono. Były też listy, telegramy, gratulacje. To niezwykle cieszy, że nasza łomżyńska rodzina jednak nadal żyje, podtrzymuje swoje więzi, mimo odległości i czasu. W tej rodzinnej duchowości nadal jesteśmy silni i chyba przewyższamy innych, także tu, w Warszawie, w której tak naprawdę mamy tylko jeden swój, łomżyński kąt — w postaci własnego lokalu.

Oczywiście, wkrótce się spotkamy, bo nie wyobrażam sobie Wigilii bez pierwszej gwiazdki, wschodzącej nad Narwią. Bez Twoich ciepłych życzeń — zawsze tak świątecznych, serdecznych, mądrych. Bez Twoich świątecznych potraw, których mi nie zastąpią najbardziej ekskluzywne stołeczne lokale.

MARIAN
Warszawa, 3.12.1986 r.

Barbara M. pochodzi z Włoskiego Mazowieckiego. Bardzo chętnie odwiedza swoich rodziców nie tylko w czasie świąt.

[...] Już porobiłam porządki przedświąteczne. Przed samymi świętami

jeszcze tylko generalnie odkurzę. Zmieniłam już firanę w kuchni, pomylałam okna od środka, popostałaliśmy wspólnie z Januszem. Janusz potrzepał dywany. Dużo mi pomógł. Gdy ja sprzątałam, to on obiad gotował. Teść mówił, że nabrudzi się jeszcze, a ja mu na to, że musicie szanować moją pracę i starać się nie nabrudzić. Teść broń swego: „U nas zawsze sprzątało się w ostatnim tygodniu”. „Ostatni tydzień — mówiłam mu — jest przeznaczony na chodzenie do kościoła i do spowiedzi”. Oczywiście, sprzecaliśmy się dalej, ale grzecznie, i śmialiśmy się przy tym wraz z Januszem.

[...] Na Sylwestra pójdziemy chyba na bal taryfiarzy. Od pary — cztery tysiące złotych. Nie wydaje mi się, że to drogo, bo cóż te dwa tysiące złotych na osobę? Marysia podpowiada, że zawsze jest tam dobre jedzenie. Zresztą, ja uważam,

Cierpię także z innych powodów, a mianowicie chodzi o zdrowie. Nie mogę spać, bo cały czas boli mnie głowa. Nie martw się. Jeżeli chcemy coś zarobić i wyjść na swoje, musimy być tutaj co najmniej rok. Musimy to wytrzymać, chociaż jest bardzo ciężko.

Jeżeli chodzi o ciuchy, to będziesz je miała. Tylko spokojnie. Już na święta ubiorę Cię po bułgarsku, a latem — po peweksowsku.

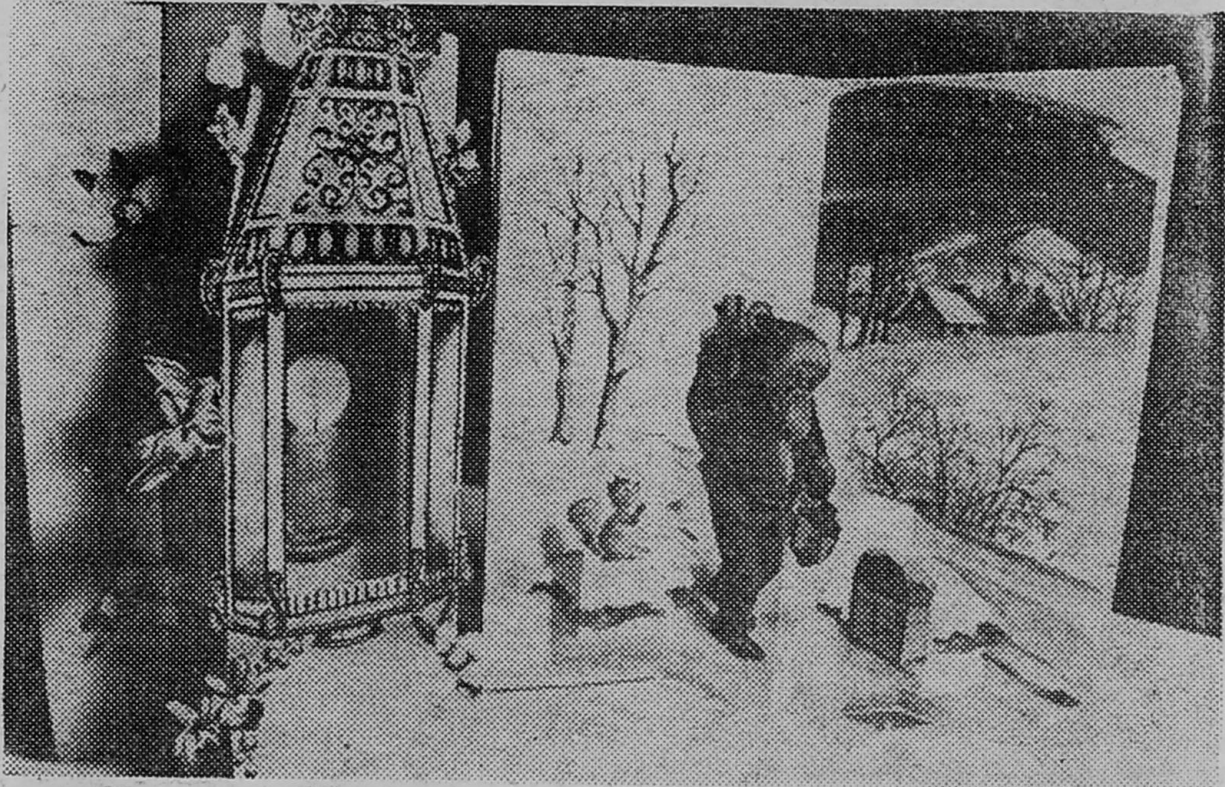
Na tym kończę. Ucałuj dzieci i powiedz, że Tatusz za nimi bardzo tęskni i niedługo przyjedzie.

JOZEK
Bułgaria, 1986.

List z roku 1983. Ojciec wyjechał do Stanów Zjednoczonych, tuż przed Świętami.

Kochane córeczki i żono!

Piszę do Was ten list po raz pierwszy w życiu i przyznam się szcze-



że naśladować Sylwestra spędza się w lokalu, a nie w domu. Dawno nie byłam w lokalu. Kiedyś z Maciem.

Na tym kończę. Catuję Was mocno.

Lublin 1983.

List pisany z Bułgarii, gdzie ojciec przebywa na kontrakcie handlowym, zawartym przez jego macierzysty, łomżyński zakład.

Cześć Baziulu!

Na początek chciałbym powiedzieć, że bardzo Cię kocham i strasznie tęsknię za Tobą i dziećmi. Dopiero się wykapałem, oczywiście, po uprzednim przeczytaniu Twojego listu i zaczynam pisać, a właściwie wolałbym, żebyś była przy mnie. Na pewno w tej sytuacji byśmy robili co innego. Nawet nie wiem, jak bardzo cierpię, im bliżej końca — tym bardziej mam na Ciebie ochotę. Gdy przyjadę, a myślę, że przyjadę po 20 grudnia, to będziesz cała obcałowana. I niech nikt nie waży się brnąć choćby nawet wzrokiem cząstki Ciebie całej, bo Ty należysz tylko do mnie. Wierzę Ci, Kochanie, że wszystko zostawisz dla mnie. Tylko nie śmieję się za mnie i mojej zazdrości o Ciebie. Już taki jestem i nie na to nie poradzę. Kocham Cię do szaleństwa.

rze, że nie wiem, jak się do niego zabrać. Kiedyś pisałem listy do mamy, ale to było bardzo dawno i przez krótki okres. Gdy piszę ten list, u mnie jest godzina 7.00 rano. Wy, dziewczynki, jesteście w szkole, a mama w pracy, ponieważ powinna być u Was godzina 13.00. Do Nowego Jorku zjechałem bez żadnych przeszkód na godzinę 18.30. Z Czechosłowacji wylecieliśmy z 50-minutowym opóźnieniem. Czekałmy również w Nowym Jorku na lotnisku około 40 minut na przyjazd autobusu i dowiedzieliśmy się o odprawie celnej. W tym czasie na lotnisku lądowało kilka samolotów z Polski. Odprawa celna w Nowym Jorku odbyła się bez żadnych przeszkód.

Na lotnisko wyjechał po mnie Adam ze swoim znajomym, jego samochodem. Zapłaciliśmy mu za przywiezienie do Passaicu 43 dolarów. Przyjechaliśmy na 21.00, a według naszego, łomżyńskiego czasu — na 3.00 rano. Teresa czekała na nas z kolacją. Była zdenerwowana, dlaczego tak długo nie przyjeżdżamy. Mieszkamy na parterze: 4 pokoje, kuchnia, łazienka. Z Adamem mieszkają ciocia, teść oraz dwoje starszych osób. Brat i siostra, która w styczniu wyjeżdża, była 5 lat. Wspólnie przygotowaliśmy kolację na mój przyjazd. Przyszła też gospodyni domu. Postawiłem butelkę spirytusu.

Wtorek przesiedziałem w domu, a w środę poszedłem do roboty przy

budowie domu. W czwartek nie byliśmy, ponieważ był mróz — 10 stopni. Robota na budowie stoi. Adam załatwił mi security i mam od poniedziałku w tej fabryce co robić.

[...] Wystąpiłem na poczetek świąteczne karty, ale tylko do ojca, Basi, Hanny i Teresy. Gdybym wystąpił do wszystkich, to bym musiał zapłacić około 50 dolarów. Na razie mnie na to nie stać.

Na pewno interesuje Was, jak wygląda ta Ameryka, do której tak wszyscy jadą. Muszę stwierdzić, że to nie ciekawego i słodkiego. Ludzie na okrągło w robocie, jeśli ją mają. Z robotą w tej chwili jest różnie. Latem jest łatwiej, ponieważ jest dużo robót budowlanych. Passaic — jest miastem brudnym. Porozwalane papiery, różnego rodzaju butelki. Łomża jest miastem o sto proc. czystszy! Dużo jest tu Polaków. Poznają jeden drugiego po rysach twarzy. To spotkało i nas na ulicy.

Niech dziewczynki napiszą do mnie, co robią, jak się uczą, jakie dostały prezenty pod choinkę oraz jak wspólnie spędzaliście święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok.

Przydałaby mi się brązowa kurtka oraz adidas, które mi kupiłaś w Czechosłowacji. Są one miękkie i wygodne do chodzenia. Adam mówi, że adidas są dobre do roboty tam, gdzie on pracuje.

List ten przesyłam przez jednego gościa, który w piątek wyjeżdża z Passaicu do Polski. Dostaniecie go gdzieś już po Świętach. Wrzuci go w Polsce do skrzynki. Na tym kończę.

Catuję Was. Mąż i tatuś.
Passaic, USA, grudzień 1983.

Ojciec czteroosobowej rodziny wyjechał w 1980 roku na czteroletni kontrakt handlowy do Madagaskaru. Udostępniony nam list pochodzi z roku 1983.

Moja Najdroższa!

Za kilka dni — święta. Symbolicznie dzielę się z Wami opłatkiem — bez opłatka. Życzę Ci zadowolenia z naszego największego, nieskończonego szczęścia, czyli Marii, Katarzyny, Zbyszka i Agnieszki. Tobie życzę wytrwałości, jak najmniej kłopotów z zaopatrzeniem i przetransformowania myśli, że ta ciężka harówka codzienna dostarcza energii do naszego domu, ciepła, światła, domowej atmosfery i wesołego, czego mój rozum nie jest w stanie uchwycić. Ty to wszystko darujesz naszemu domowi. A więc jeśli pomyślisz, że to wszystko stoczy naszemu najwspanialszemu cudowi, czyli naszym maluchom, to nawet w chwili załamania natychmiast odzyskasz ulgę, uśmiech, bo kłopoty zostaną przyniesione sukcesami naszych dzieci. Także w chwilach ciężkich, gdy niesiesz wyładowaną siatkę zakupów, gdy samochód nie pali — pomyśl o sukcesach naszych dzieci.

Na święta jestem zaproszony do polskich rodzin — do Golaszewskich i Kaflów. Wigilię też spędzę z nimi, Sylwestra zaś — w polskim konsulacie.

Wybrał
STANISŁAW ZIELIŃSKI

co u państwa słychać



bunt
posłusznego

W związku z oświadczeniem byłych pracowników Spółdzielni Inwalidów „Razem” w Łomży, ob. Wincentego Kulas i Ob. Jerzego Kuksy („Kontakty” nr 43/86), jako były zastępca prezesa Zarządu SI „Razem” czuję się zobowiązany do przedstawienia czytelnikom rzeczywistego przebiegu wydarzeń.

Istotnie w lutym czy też marcu 1985 r. poleciłem Wincentemu Kulasowi, aby zwrócił się w moim imieniu do elektryka (pracownika spółdzielni, przebywającego na zwolnieniu lekarskim) z prośbą o usunięcie awarii w sklepie w Czyżewie. Następnego dnia otrzymałem odpowiedź, że elektryk nie może pojechać do Czyżewa i propozycję, iż Wincenty Kulas dokona usunięcia awarii, jeżeli ja wyrażę na to zgodę. Na taką propozycję przystałem bardzo chętnie, bo pracownik zapewnił, że posiada niezbędne uprawnienia.

U schyłku 1984 r. w Jedwabnem prowadzona była kontrola sanitarna sklepów Spółdzielni „Razem”. W sklepie spożywczym ujawnione zostały rażące zaniedbania. Przeprowadzone trzy kontrole (dzień po dniu) nie przyniosły żadnej poprawy, pomimo 2-krotnego mandatu karnego. Wyniki kontroli oraz bierna postawa pracownicy sklepu, która weszła w konflikt z właścicielką lokalu, zmusiły Zarząd Spółdzielni do rozwiązania umowy o pracę w ustawowym okresie. Decyzja o wypowiedzeniu umowy o pracę podjęta została przez Zarząd, a nie jednoosobowo przeze mnie. Do mnie między innymi należało jej wykonanie. Pracownica sklepu wniosła do sądu pozew o uchylenie wypowiedzenia stosunku pracy przez Spółdzielnię. W świetle przedstawionych dowodów sąd pozew oddalił i utrzymał wypowiedzenie w mocy. Wypowiedzenie doręczone zostało w listopadzie 1984 r. i kończyło się w ostatnim dniu lutego 1985 r. Sklepowa od 18 lutego 1985 r. do 4 marca 1985 r. przebywała na zwolnieniu lekarskim. W związku z upływem terminu wypowiedzenia, pod koniec lutego powołałem komisję, której zadaniem było przeprowadzenie inwentaryzacji. W skład komisji powołany został także Wincenty Kulas. Nonsensem było, że w komisji uczestniczył przedstawiciel PIH-u. W dniu, w którym została wysłana do sklepu komisja, Spółdzielnia nie posiadała zwolnienia lekarskiego pracownicy sklepu. Jednakże nawet gdyby zwolnienie wpłynęło wcześniej, postąpiłbym w ten sam sposób, gdyż nie widziałem żadnych szans na poprawę. Wincenty Kulas był poinstruowany jak ma postępować. Nie było dla niego tajemnicą, co jest przyczyną zwolnienia pracownicy sklepu. Wiedział dokładnie, że jeżeli pracownica jest chora i nie może sama uczestniczyć w inwentaryzacji, ma prawo ustanowienia pełnomocnika, który przekaze w jej imieniu towary.

Stwierdzenie Kulas: „prezes wykorzystywał mnie jeszcze wielokrotnie” jest bezpodstawne, ponieważ ob. Kulas nie wykonywał niczego prywatnie dla mnie, a to, co robił, wynikało z potrzeb działalności Spółdzielni. Nie pierwsza to i nie jedyna jednostka handlowa, w której pracownikom administracji, księgowości czy też innych służb poleca się wykonanie np. przecen towarów, wzięcie udziału w kontroli itp.

Nigdy też nie sugerowałem Wincentemu Kulasowi, co ma napisać w wyniku przeprowadzonej kontroli. Mówiłem tylko o tym, co sam widziałem.

Faktem jest, że ob. Kulas ostatni raz brał udział w inwentaryzacji sklepu przy „Orbisie” i że jego odejście ze Spółdzielni ma ścisły związek z tym sklepem. Ale przyczyny i okoliczności są inne niż te, które przekazał w swoim oświadczeniu. To zaś było dla mnie jeszcze jedną lekcją i utwierdziło w przekonaniu, że powinieniem w dalszym ciągu stosować zasadę ograniczonego zaufania. Otóż człowiek, którego obdarzyłem wielkim kredytem zaufania, okazał się niegodnym tego! Właściwym powodem odejścia Wincentego Kulas z SI

„Razem” było umożliwienie dokonania kradzieży kilkudziesięciu butelek wina ze wspomnianego sklepu przy „Orbisie” drugiemu członkowi komisji inwentaryzacyjnej. Ob. Kulas, jako członek komisji inwentaryzacyjnej, posiadał komplet kluczy. Przekazał je koledze z komisji, a ten po godzinach pracy wyniósł ze sklepu wino. Kiedy otrzymałem informację o kradzieży wina, poprosiłem Kulas na rozmowę. Przyznał się do oddania kluczy, powiedział, że nie wierzy w kradzież wina przez drugiego z członków komisji, stwierdził też, że w torbie kolegi widział takie samo wino, jakie znajduje się w sklepie przy „Orbisie”. Nim zdążyłem sięgnąć po środki dyscyplinarne, na moim biurku leżało już wypowiedzenie stosunku pracy podpisane przez Wincentego Kulas. Za kilka dni autor wypowiedzenia przyszedł do mnie z prośbą o wyrażenie zgody na przejście do pracy w WPHW za porozumieniem między zakładami pracy. Wówczas to podjąłem decyzję stosowną

wej, gdy faktycznie SI „Razem” posiada 36-letnią historię.

Uważam, że nawet przykre fakty powinny być przekazywane do wiadomości publicznej w obiektywny sposób.

inż. JERZY SERWATKO
prezes Zarządu HSI
w Łomży

* * *

Kiedy czytałem odpowiedź prezesa Spółdzielni Inwalidów „Razem” w Łomży, ob. Ryszarda Goska, nie mogłem uwierzyć, że aż tyle bezczelności i braku samokrytycyzmu może tkwić w tym człowieku. Bezczelnością bowiem jest zasłanianie się społecznością inwalidów przed ostrzałem krytyki, która pochodzi właśnie od tej społeczności.

Prezes Gosk chce wystąpić w roli rzecznika społeczności, a ostrze kry-

ewidentne przekroczenia przepisów wynikających ze stosunku pracy, które krzywdziły zatrudnionych inwalidów. Budowanie swoich sukcesów, zerowanie na inwalidach, wywołuje szczególną odrazę. Podział spółdzielni, jakkolwiek może uzasadniony ze względów ekonomicznych, był głównie realizacją osobistych ambicji ob. Serwatki i ob. Goska, którzy wyraźnie nie mogli pracować pod jednym szyldem. A więc nie troska o inwalidów, a osobiste interesy były przyczyną podziału spółdzielni. Obecnie ob. Serwatko i ob. Gosk są prezesami, każdy swojej spółdzielni, co stanowi zakończenie konfliktu. Prezesi zrealizowali swoje osobiste cele i nie muszą się już nawzajem zwalczać. Co z tego mają inwalidzi zatrudnieni w spółdzielniach?

Czytelnik z Łomży
(nazwisko i adres
do wiadomości redakcji)

„Siła złego”

Problem przedstawiony w raporcie „Siła złego” („Kontakty” nr 46/86) traktujemy jako sygnał, który wymaga pilnego zbadania.

Prezes Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację polecił Działowi Interwencji ZG przeprowadzenie szczegółowego postępowania wyjaśniającego w przedmiotowej sprawie. O jego wyniku poinformujemy redakcję oddzielnie.

plk ANDRZEJ GĄSZCZOŁOWSKI
Zarząd Główny ZBoWiD
w Warszawie

rezerwacja

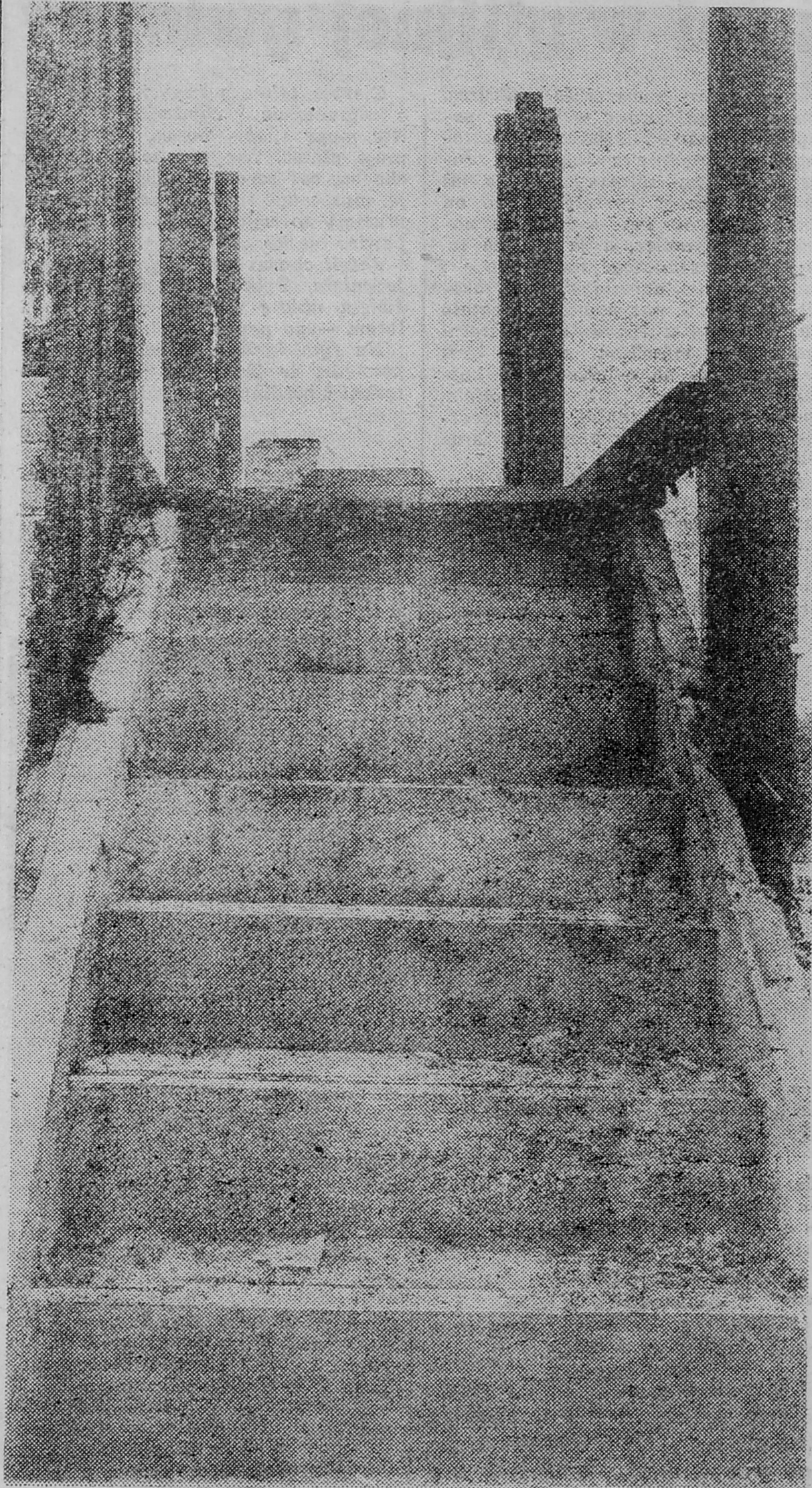
Ustosunkowując się do problemu poruszonego w notatce prasowej („Spięcia”, „Kontakty” nr 38/86) wyjaśniamy, że Oddział Krajowej Państwowej Komunikacji Samochodowej w Łomży nigdy nie miał zawartej umowy na rezerwację miejsc i sprzedaż biletów na autobusy innych oddziałów PKS, czy autobusy odjeżdżające z innych dworców na terenie kraju.

Umowa, która była zawarta pomiędzy naszymi przedsiębiorstwami, dotyczyła wyłącznie Oddziału PKS w Łomży. Mimo ograniczonego zakresu umowy PBP „Orbis” Oddział w Białymstoku, Ekspozytura w Łomży prowadziła rezerwację miejsc i przedsprzedaż biletów na autobusy odjeżdżające z różnych dworców na terenie kraju. Z chwilą rozwiązania umowy na sprzedaż i przedsprzedaż biletów na autobusy Oddziału KPKS w Łomży, Ekspozytura PBP „Orbis” w Łomży zaprzestała również działalności w zakresie pozaumownym z nieznanymi nam przyczyn.

Oddział KPKS w Łomży nigdy nie namawiał, ani tym bardziej nie zabraniał Ekspozyturze PBP „Orbis” w Łomży prowadzenia rezerwacji miejsc i sprzedaży biletów na autobusy innych oddziałów, czy też autobusy odjeżdżające z innych dworców PKS. Uważamy, że jeżeli robi to Oddział w Białymstoku, może robić to również podległa mu Ekspozytura w Łomży.

Jednocześnie wyjaśniamy, że ze względów technicznych kasy biletowe KPKS w Łomży nie są w stanie prowadzić innej działalności poza sprzedażą i przedsprzedażą biletów na autobusy własne i innych oddziałów, rozpoczynając bieg dworca KPKS w Łomży.

mgr inż. WŁADYSŁAW LACH
zastępca dyrektora KPKS
Oddział w Łomży



do prośby zainteresowanego. Kierowałem się młodym wiekiem tego człowieka, krótkim stażem pracy i nienaganną dotychczas pracą w Spółdzielni.

Do drugiego oświadczenia nie chcę się ustosunkowywać, ponieważ poważny człowiek na pewno nie sięgnąłby po pióro w sytuacji, w jakiej się znalazł. Zastanawiający w swej tendencji jest również wstęp do obu oświadczeń. Brak jest chronologii faktów. Wiadomym jest, że HSI powołana została 1 stycznia 1985 r., że wcześniej, przez 36 lat, działalność — także handlową — prowadziła SI „Razem”. Fakty poruszone w obu oświadczeniach miały miejsce w SI „Razem”, a autor (być może autorzy) wstępu sugeruje, że dotyczy one HSI. Niezorientowany czytelnik może odnieść wrażenie, że to SI „Razem” została wyodrębniona ze Spółdzielni Handlo-

tyki zwrócić na tych, w których interesie ta krytyka powstała. Prezesa bardzo denerwuje fakt, że ktoś pomógł ob. Kukso w napisaniu oświadczenia. Jest to dowód na to, że członkowie zarządu SI „Razem” gardzili inwalidami, często korzystali z ich ułomności, bo wiedzieli, że krzywdzony nie zawsze potrafi samodzielnie się bronić. Prezes jest oburzony dlatego, że redakcja „Kontaktów” pomaga inwalidom krytykować.

Prezes Gosk na swoją obronę przytacza argumenty ekonomiczne i gospodarcze z zakresu działalności spółdzielni. Jednakże ważniejsze są sprawy stosunków międzyludzkich, zasad współżycia i sprawiedliwości społecznej; a zasady te są bardzo ważne przy pracy z inwalidami. Cykl artykułów o SI „Razem” pokazał, że były one niejednokrotnie łamane, a poza tym miały miejsce

co po krytyce



O wyróżnikach Państwowego Instytutu Wydawniczego, jego wkładzie do „magazynu” intelektualnego XX w., miejscu książki wśród systemów informacyjnych, latach galopu i refleksji — z dyrektorem i redaktorem naczelnym PIW-u, MICHAŁEM KABATĄ — rozmawia WOJCIECH WOŹNIAK.

QUO VADIS książko



Jeszcze łatwiej zniszczyć dyskietkę komputerową (zawierającą tylko tyle informacji, ile jest w 90-arkuszowej książce). A książka, nawet bardzo zacytowana, daje się pokleić i polatać; poza tym funkcjonuje w kilku tysiącach egzemplarzy, podczas gdy dyskietka komputerowa, na przykład, w jednym, i informacja w niej zawarta się nie odtożnienia. To jest technologiczna strona samoobrony książki. Druga, czysto psychologiczna, polega na tym, że książka nie wymaga pośrednictwa technicznego, czyli obsługiwaną skomplikowaną aparaturą i wielkich inwestycji, jak domowy komputer czy system wideo, lecz tylko umiejętność czytania. Można z niej korzystać w każdej sytuacji i tylko ona umożliwia obcowanie bezpośrednie, intymne i niepowtarzalne.

— Wróćmy jednak do polskiej bolączki wydawnictwa: bariery poligraficznej. Co tę barierę stanowi? — Parę rzeczy: powolny skład, różnorodność typów i urządzeń poligraficznych oraz asortyment papieru, więc właściwie wszystko, co się składa na poligrafię. Łatwo znaleźć wykonawcę wysokiego nakładu, natomiast nie sposób np. 5-tysięcznego, w jakim ukazują się tomiki poetyckie. W takiej serii, jak „ceramowska”, ilustracje pełnią taką samą funkcję informacyjną, co tekst, a może jeszcze ważniejszą, więc jeśli nie można się ustawić w kolejce „do odpowiedniej maszyny i z odpowiednim papierem, trzeba czekać, a to przedłuża cykl wydawnictwa książki. I jest jeszcze jedno, co jak maniak powtarzam: cały świat robi nakłady pilotujące i ich przedrukowanie, trzymając się w stanie równowagi, rozchwytywana książka dopiera po roku, więc tracimy, bo ona wów-

czas już może nie być wcale rozchwytywana.

— Czy przewiduje Pan hybrydyczne łączenie form wydawniczych jako jedną z zasad produkcji, np. druku z dźwiękiem i obrazem, czyli tom poezji z kaseta wideo?

— Już widziałem takie rzeczy na świecie; zresztą były także u nas. Tomy poetyckie z płytą, na przykład, czyli głosem poety recytującego swoje wiersze. Ale na świecie robi się rozmaite dzieła o charakterze edukacyjnym: encyklopedie, które mają tekst połączony z systemem kaset wideo, podręczniki do nauki języków obcych z systemem dyskietek komputerowych itp. Myślę, że przyszłość takich hybrydycznych połączeń jest duża, tylko, na razie trzeba pamiętać o pewnej barierze technologicznej. Te urządzenia w dalszym ciągu nie są tanie.

— A gdyby spojrzeć na zjawisko przez to, o czym pisze Wiktor Hugo w powieści „Katedra Marii Panny w Paryżu”, w rozdziale „To zabije tamto”, gdzie system znaków zapisanych w architekturze rozsypuje się pod wpływem „światła z tłoczni Gutenberga”? Czy zmiany, które następują dzisiaj w sferze porozumiewania się, systemów informacji, są równe tej z przełomu średniowiecza i odrodzenia, gdy to „galaktyka druku” dokonała prawdziwej rewolucji?

— Wszystko już tak ewoluowało od czasu wielkiej rewolucji przemysłowej, że jesteśmy psychicznie przygotowani do częstych zmian czy do istnienia systemów komplementarnych. To nie jest rewolucja na miarę zastąpienia czegoś czymś, co jest bez porównania bardziej funkcjonalne, czyba, efektywniejsze niż. Trudno np. powiedzieć, że domowy komputer (albo wideo) jest efektywniejszy niż książka. Dla

jednego tak, dla drugiego nie. W naukach technicznych, na przykład, gdzie częstotliwość zmian jest dużo większa, te wszystkie systemy informacyjne są znacznie bardziej różne niż książka, ale pod warunkiem, że stanowią sieć z dostępem do informacji, które posiadają inni na terenie całego kraju. W naukach humanistycznych jest to jeden z możliwych systemów. Z rozmów ze środowiskiem naukowym wiem, że część pracowników naukowych traktuje te środki techniczne przede wszystkim jako pomoc w pracy, sposób gromadzenia informacji, utrwalonej następnie w książkach. Jak wieczne pióro zastąpiła maszyna do pisania, tak ją teraz wyręcza komputer składający i zapamiętujący tekst.

— Czy jednak, jeśli półzartem odwołać się do teorii „trzeciej fali” Tofflera, rola książki nie skończy się wraz z epoką industrialną?

— Nie do końca bym się z tą książką zgadzał. Sądzę, że raczej wszystko się będzie skłaniało do pozostawienia książki jako produktu finalnego, natomiast sposoby dochodzenia do tego produktu będą inne, np. autor nie przyniesie do wydawnictwa maszynopisu, lecz komputerowy skład, a wydawca prześle go systemem komputerowym do drukarni. Myślę, że nasza cywilizacja może się dokumentować przede wszystkim książkami, odzwierciedlającymi poziom myślenia ludzi wychowanych w połowie XX wieku. Być może na początku XXI ta tradycja zostanie odrzucona, ponieważ zbędny okaże się cały ów naddatek estetyczno-emocjonalny, jaki wiąże się z książką. My jednak swój kapitał intelektualny prześlemy w postaci gigantycznego magazynu książkowego.

— Co nowego do owego „magazynu” doda w niedługim czasie PIW?

— Są tu rozmaite perspektywy czasowe, ponieważ już przygotowujemy tytuły, które ukażą się najwcześniej za 4-5 lat, ale także za 2-3 miesiące; myślimy też o konstrukcji planu na rok 1988 (plan 1987 jest całkowicie zamknięty, a teksty złożone w drukarniach). Myślę, że pozycje atrakcyjnych czytelników będzie sporo. W „Bibliotece myśli współczesnej” wydzie Jacob Bronowski i wybór pism Romana Ingardena; w „Rodowodach cywilizacji” — „Cywilizacja Odrodzenia” i „Cywilizacja Oświecenia”, przekłady z francuskiego; w „Biografiach sławnych ludzi” — Talleyrand, Stanisław Żółkiewski, Wercyngetoryks; w serii „Artyści” na przykład, biografia Cwiklińskiej, kontynuacja pism Schillera, ale też pamiętnik Lawrence’a Oliviera. Najbliższe lata zapowiadają utrzymanie rytmu ilościowego, a chciałbym, by czytelnicy stwierdzili, że także poziom jakościowy.

— Jak służy popularyzacji książki i literatury prasa?

— Sposoby wykorzystywania książki przez prasę są tradycyjne, ukształtowane przez XIX w. Czasem recenzji i omówień jest w prasie tak dużo, że człowiek się po nich prześlizguje i nie dokonuje potrzebnej selekcji. A poza tym za mało osób znaczących, mających własny dorobek intelektualny, autorytet naukowy lub literacki, bierze się za krytykę literatury, sztuki czy myśli współczesnej. A przecież kiedyś np. sam Piotr Chmielowski pisał sporo recenzji. Gdyby teraz autorytety zabierały głos w sprawie książek, te nabierałyby innej rangi, inaczej byłyby zauważane. Recenzje nie muszą być polakierowane; mogą być bardziej krytyczne, bardzo surowe, zarówno wobec autora, jak i wydawcy. Natomiast trochę jest tak, że albo pojawiają się w prasie dość neutralne omówienia, unikające sądów wartościujących, albo też napaści, których wartość polega na efektownej stylistyce. Najbardziej pożądane formy oceny książek zdarzają się, niestety, nieczęsto.

— Czy nie sądzi Pan, że niedostatek kontaktów prasy z książką wynika częściowo z niechęci żurnalistów wobec form refleksyjnych?

— Być może. Ale na tym też zawazyły ostatnie lata, szalenie gorączkowe, namętne, swarliwe; lata, w których życie wyprzedzało atrakcyjnością literaturę czy sztukę, kulturę w ogóle. To one wyrobiły nawyk łapania informacji, który wyparł refleksję. Myślę, że teraz jest chyba taki czas, w którym powinnam do refleksyjnych form wrócić.

— Bardzo dziękuję za rozmowę.
Prof. Stanisław SZLACHET

Kontakt



WOJCIECH WOŹNIAK: — Panie Dyrektorze, proszę przyjąć gratulacje i najlepsze życzenia z racji 40-lecia Państwowego Instytutu Wydawniczego, a przy okazji przedstawić swoje wydawnictwa na tle innych w kraju.

— MICHAŁ KABATA: — Jest to jedna z największych firm wydawniczych w Polsce. Jej jednorodność programowa wypływa już ze statutu, który mówi, że jest to wydawnictwo literatury pięknej (zarówno klasycznej, jak i współczesnej) i szeroko pojętej humanistyki, czyli filozofii, socjologii i historii kultury oraz historii najnowszej, politycznej i społecznej. Specyfiką PIW-u jest planowanie swojej oferty dla czytelników w seriach. Wynika to z długoletniej tradycji. Teraz czynne są 32 serie, niektóre już sięgające prawie trzydziestu lat, np. „Rodowody cywilizacji”. Najbardziej specyficzną cechą PIW-u jest to, że stara się uczestniczyć w tym, co aktualne i ważne w Polsce i na świecie; w sensie myśli oraz zjawisk artystycznych i literackich, a także w sensie metodologii w naukach humanistycznych. Swoją ofertę aktualną traktuje aktywnie, tzn. nie tylko biernie odpowiada na potrzeby czytelników, ale także je kształtuje czy rozwija, podpowiada tematy do przemyślenia, do analizy. Jeszcze jednym wyróżnikiem oficyny jest to, że przez te serie jej oferta jest z jednej strony wąsko adresowana, a z drugiej, przez sumę serii, bardzo szeroko: od czytelnika początkującego do wyspecjalizowanego.

— Które z tych 32 serii warto bliżej przedstawić?

— Myślę, że czytelnicy je znają i może są do nich nawet przyzwyczajeni. Ważne światopoglądowo i ze względu na ogólny rozwój edukacji humanistycznej są trzy: „Biblioteka myśli współczesnej”, która przynosi nie tylko polskie prace, ale też wiele przekładów, i to pozycji zajmujących ważne miejsce w humanistyce światowej. Przy czym nie znaczy to, że zawsze musimy biernie przyjmować zawarte w nich treści, bowiem książki te pokazują style refleksji humanistycznej i mogą spełniać ważną rolę jako zaczyn, podstawa dyskusji. Myślę, że z ogólnopedagogicznych względów bardzo ważna jest seria „Rodowody cywilizacji”, zwana też „ceramowską”. To jest najstarszy cykl: zaczął się ukazywać w roku 1958; sądzę, że — przynajmniej w części — znajduje się w wielu polskich domach i że wielu osobom przybliżyła rzeczywistość tę najbardziej fundamentalną wiedzę na temat rozwoju i dziejów rozmaitych cywilizacji. Najmłodsza jest seria „Najnowszej historii Polski”. Wychodzą w niej prace (na różnym poziomie szczegółowości) niezbędne dla zrozumienia współczesnej historii Polski i Europy, miejsca Polski w Europie i w świecie, rozwoju myśli politycznej i doktryn politycznych, kształtowania się sposobu myślenia o państwie i o obywatelach wobec państwa.

— Wszyscy wydawcy książek stają dziś wobec tych samych problemów i tych samych zjawisk cywilizacyjnych i społecznych.

— Część z nich to problemy specyficznie polskiej natury, organizacyjno-ekonomicznej, np. bariera poligraficzna. Jeśli ruch wydawniczy ma być sprawny, konieczne są bardzo ukierunkowane inwestycje w poligrafię. Bez mądrze ułożonych pieniędzy tego się zrobić nie da. Ale są też problemy, które dotyczą całego współczesnego świata i z pewnością przyjdą do nas. Myślę tu przede wszystkim o miejscu książki we współczesnej cywilizacji, tzn. czy obroni się ona w cywilizacji obrazkowej, czy jest do zastąpienia przez wideo, przez domowe komputery, kodujące informacje, czy wytrzyma je konkurencję z innymi typami przekazu: radiowym, telewizyjnym itd. Jestem raczej optymistą, i to nie dlatego, że zajmuję się wydawaniem książek. Miałem wielokrotnie okazję obserwować, jak na świecie książka umie wywalczyć sobie odrębne i uprzywilejowane miejsce w systemach informacyjnych. W dużych firmach wydawniczych na świecie jest ona także ładnym przedmiotem, tzn. konkuruje z wideokaseta czy z dyskietką komputerową swoją — efektowną — materialnością. Paper-backi czy pocket-booki cofają się do takiej pozycji, do jakiej były przeznaczone, natomiast Biblioteki straszą się z książek wydawanych starannie. Dalej: książkę, wbrew pozorom, trudno zniszczyć, a wideo — bardzo łatwo, bo jednym zniszczeniem — razem — klawisz.

W Łodzi
KPN

Mogło być około dwudziestej trzeciej, kiedy Tadeusz Kostro zgasił światło i położył się obok śpiącej żony. Mijał pierwszy poświęcony dzień w zapachu choinki, resztek ciast i wędlin. Chłód pościeli spędził na moment ociepiał z powiek. Kostro leżał, wsłuchując się w równe oddechy żony i córki; z kuchni dolatywało go lekkie pochrapywanie syna. Poza tym panowała absolutna cisza. Niewykluczone, że przysnął, bo ujadanie psów wydało mu się wyjątkowo ostre i gwałtowne. Nie było w nim jednak agresywności. Pomyslał, że wyczuły kogoś znajomego. Tylko czego mógł on szukać o tej porze na takim odludziu? Po chwili stukanie do drzwi. Podniósł się niechętnie, przeszedł do kuchni. Pukanie powtórzyło się. Kostro przekręcił klucz w zamku.

Na progu stał Sławek Piotrowski, chłopak z tej samej wsi; Kostro najmował go przed świętami do remontu stodoły. Coś mu się najwyraźniej przytrafiło: na policzku miał krew, w dłoniach trzymał widły.

— Wejść — zaprosił Kostro. — Co się stało?

Sławek przestąpił próg, lekko się zatoczył: — Pobiliśmy się z Hajdelakami. Goni mnie milicja...

skiego i natychmiast wrócił do matki. W momencie, kiedy drzwi do kuchni otwierały się, Sławek błyskawicznie uderzył w nie widłami. Domyślił się już wcześniej podstępny Kostro. Na szczęście atak był chybyony. Unikając kolejnych ciośków Kostro przemknął się do pokoju.

W Piotrowskiego jakby coś wstąpiło: wymachiwał widłami, kopał nogą w drzwi: — Wszyscy do kuchni! — zakomenderował. — Ustawiać się pod choinką!

Nikt się nie ruszył. — Nie słyszycie?! Pod choinkę! Będzie odliczał do dziesięciu: jeśli nie usłuchacie, przebiję Krzyska — licząc sięgnął po bochenek chleba.

Sabina Kostro mocniej przycisnęła córkę: — Biegnij na podwórko, Krzysiu — szepnęła — przynieś ojcu widły. Tylko ostrożnie.

— ...dziesięć! — widły szerokim łukiem spadły na stolik, posypało się szkło z rozbitych szklanek. — Pod choinkę, mówię! — w głosie Piotrowskiego wyczuwało się determinację. — Liczę do trzech. Raz, dwa...

Ktoś zaczął płakać. — ...trzy. A teraz liczę do jednego i przebijam Krzyska. — Tata...

Tak. Chleb wypadł spod ramienia i potoczył się po podłodze. Metal zgryztał o metal. Nie, czuł nie prócz furii. Nagle znieruchomiał w pół uderzenia i stanął wobec Kostro z „rozbrojonym” styliskiem. W jednej chwili przejął go strach; odwrócił się i wybiegł z domu. Czł na plecach raz widział Kostro, a za moment słyszał już tylko głosy goniących. Dopadł skraj lasu i zaszył się w najbliższych krzakach. Kostro z synem zawrócili do chałupy. Potem wyprowadzili ciągniki i wszyscy pojechali nim w kierunku wsi. Zaczekał, aż uciśnie warkot silnika, przebiegł kilkadziesiąt metrów do sterty słomy i — uspokojony — przypalił papierosa, a jeszcze płonąca zapalniczkę rzucił na słomę. Znowu ruszył w stronę lasu.

— No i cała się spaliła — ciągnął ojciec — ale drugą i budynki Kostrow uratowali. Przyjechała straż, zbiegli się ludzie. Krzysiek i Krystyna pojechali ciągnikiem do miasteczka po milicję, tyle że nikogo nie zastali. Dopiero dzisiaj zjawił się posterunkowy. Chodzi teraz po wsi, przepytuje ludzi.

Sławek już się zdecydował: — Dobra, ojciec, to ja idę do sąłysa. Nie muszą mnie szukać.

Sławek zawsze był trochę inny. Nikt we wsi nie mówi „wariat”, bo to nieprawda, ale „dziwny”. Nie chodził na zabawy, lubił się bawić z dziećmi, łatwo się denerwował. Już w pierwszych klasach podstawówki miał kłopoty z nauką. Od czwartej rodzice oddali go do szkoły specjalnej, tak jak wcześniej starszą córkę. W terminie skończył zasadniczą szkołę budowlaną, również specjalną. Przez rok pracował jako konserwator rowów, ale zwolnił się, gdy zaczął chorować na stawy. Potem już tylko najmował się do prywatnych budów (2,5 do 3 tysięcy za dniówkę). Uważał, że do państwowej roboty się nie nadaje. Nigdy nie pracował więcej niż kilka dni w miesiącu. Musiał opiekować się matką, chorującą na gruźlicę kręgosłupa. Na ojca liczyć nie mógł; dobrze, jeżeli w ogóle był trzeźwy. Opiekował się domem, jak umiał, czyli nie najlepiej. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie wszystko jest z nim w porządku. Wiedział, że „jest głupi, bo go nawet nie chcieli wziąć do wojska”.

Pięć zaczął już w szkole i już wtedy po niewielkich ilościach alkoholu stawał się agresywny i wulgarny; wygadywał niestworzone rzeczy. Na weselu swojej siostry wypił dwa kieliszki wódki, trzy piwa i wpadł w szal. Nie poznawał nawet matki. Groził, że wszystkich pozabija. Kiedy siłą położono go do łóżka, uspokoił się i zasnął. To był na niego jedyny sposób — położyć go spać. Kiedy się budził, znowu był spokojny, normalny.

Nie rozumie, dlaczego tak się z nim dzieje. Nie potrafi wyjaśnić, czego chciał od Kostrow. Poszedł do nich, chociaż nie było mu po drodze. Z Hajdelakami się nie bił, milicja go nie goniła. Widły wziął, bo bał się psów, ale dlaczego groził Kostrom, żądał chleba i słoniny? W jego domu, choć się nie przelewa, bo z gospodarki zostały tylko zabudowania, a matka i ojciec są rencistami, jedzenia raczej nie brakuje. A słoniny w ogóle nie lubi.

Na pytania lekarzy odpowiada niechętnie, podenerwowanym głosem. Skarzy się na ból głowy. Widać, że za to, co zrobił, będzie musiał odsiedzieć, ale nie rozumie związku swego zachowania z piciem alkoholu. Któregoś dnia przestaje panować nad sobą. Miota się po gabinecie zabiegowym, rozbija leki o ściany, ubliża lekarzom. Muszą mu nałożyć kaftan bezpieczeństwa. Po kilku dniach przyjmowania leków łagodnie, przestaje go boleć głowa. Znowu jest zupełnie normalny.

Sąd skazuje go na pięć lat pozbawienia wolności i całkowitą konfiskatę mienia. Kilka dni później 34 gospodarzy podpisuje się pod prośbą o warunkowe zawieszenie kary. Uważają, że chłopak nie jest winien nienormalnym warunkom wychowania. Na co dzień Sławek przecież jest spokojny, uczynny i koleżeński. Nawet Kostrowie, którym chciał wyrządzić krzywdę, nie mają do niego pretensji.

Wyrok nie jest jeszcze prawomocny.

Wszystkie nazwiska zostały zmienione.

ba ery

Złe przecucia ogarnęły mnie już w momencie zapraszania Marka Kotańskiego. Wprawdzie zgodził się przyjechać szczególnie po zapewnieniu, że Łomża znajduje się zaledwie 139 kilometrów od Warszawy, lecz nie do jednego liceum, choćby najbardziej chciało zostać Szkoła Czystych Serc. „Zorganizujcie największą salę — usłyszałam — 2-3 tysiące młodzieży, plakaty na mieście i inne bajery. A termin proszę uzgodnić z Krystyną Błońską. Ona prowadzi mój kalendarz.”

Pani impresario, organizowane tłumy... Jak bardzo przeorał się Marek Kotański od czasu, gdy — podobnie jak wielu moich kolegów i koleżanek — fascynował mnie swoim uporem, poświęceniem sprawie narkomanów; wtedy, gdy dla władz była ona wstydlawa i drażliwa, a w przeciętnych ludziach ta zagubiona młodzież budziła lek, obrzydzenie lub pogardę. Obawy zostały przygłuszone przez zaufanie: w końcu to on jest specem od



bliskich kontaktów z młodzieżą, nie ja. Skoro Nardelli mógł przez dotyk jednocześnie leczyć z chorób i kaletwa setki ludzi połączonych łańcuchem rąk, dlaczego Kotański tym samym sposobem nie mógłby pokrzepić młodych dusz?

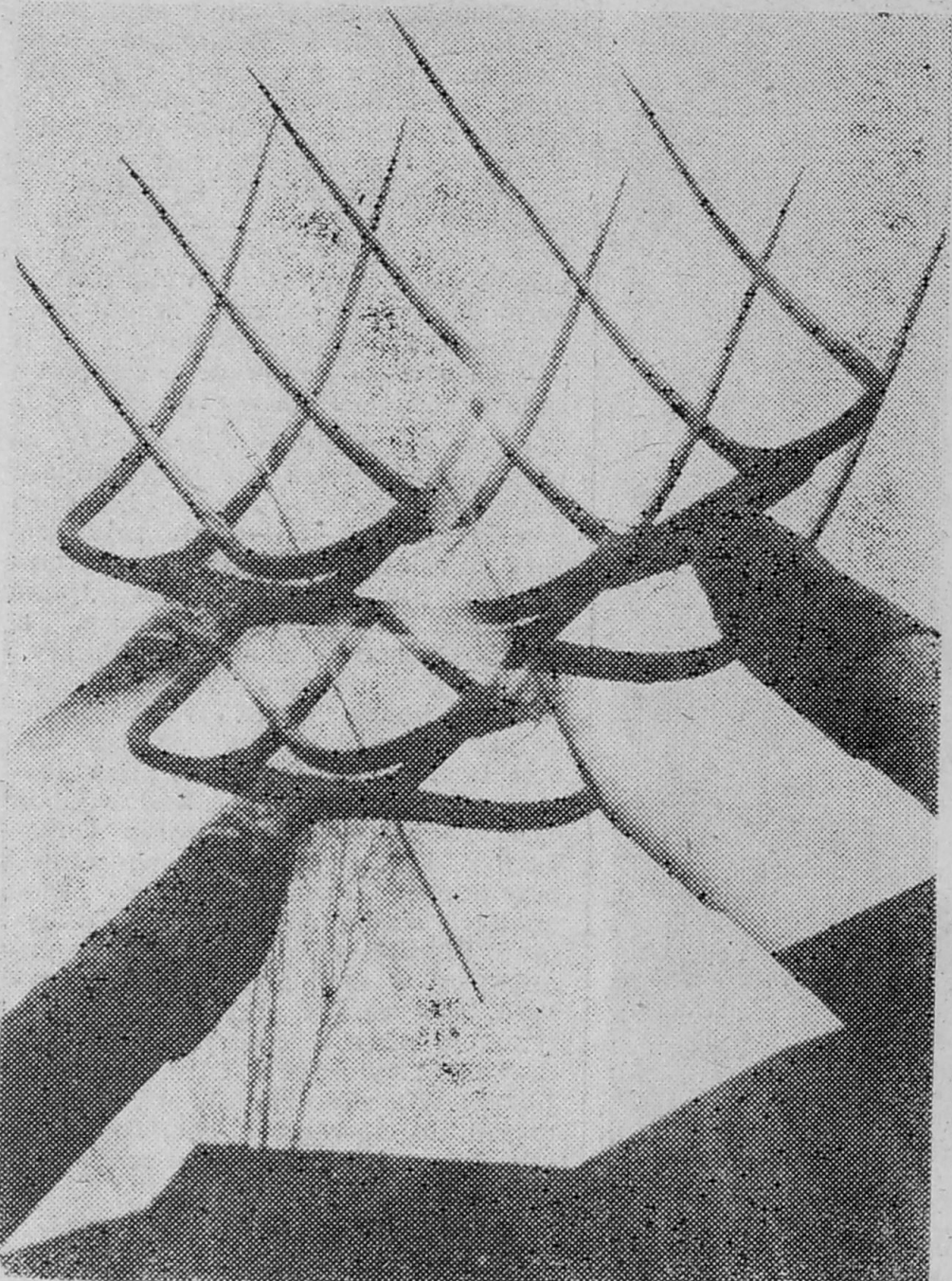
happening

Gość potraktował swój występ jako artystyczny spektakl, z założonym wpływem publiczności na jego przebieg. Skoro nie była to dyskusja, lecz przedstawienie w wykonaniu i reżyserii Marka Kotańskiego, poddaje się ono raczej recenzji niż relacji. Aktor niewątpliwie górował nad autorem, inaczej mówiąc: środki wyrazu liczył się bardziej niż przekazywana treść.

Występ jednak nie wywołał spodziewanego spontanicznego entuzjazmu. Nie udało się go też Kotańskiemu sprowokować. Na finałowe pytanie: „Kto mnie kocha?” — podniosło się zaledwie parę rąk. Być może Kotański błędnie założył sobie, że łomżyńska młodzież przedkłada formę nad myśl i że wystarczy nieco przyspanować, błysnąć dowcipem, mieszać kabaretu, showu i wykładu, by wywołać coś więcej niż uśmiech, uznanie, chwilowe ciepłoko sympatii.

Zresztą „chwyty”, którymi Marek Kotański usiłował kupić publiczność, nie należą do subtelnych ani nowatorskich: pelen „luz”, ręce w kieszeniach bądź w wyrazistym geście, odpowiednio dobrany ciuch, słownictwo będące mieszaną wielu młodzieżowych mód, odrobina wulgarności („to nie dlatego, że lubię przeklinać, lecz że się emocjonuję”), napomknięcie, że jest się praktykującym katolikiem, żadnym tam „partyjniakiem”, facetem z plecami i układami, a do organizacji młodzieżowych ma się stosunek „ciepły... ciepły...”, nieukrywanie, że się jest generalnie na „nie” („znam oczywiście, wyjątki”) wobec szkoły, nauczycieli, rodziców i innych zgredów oraz programowo na „nie” wobec konwenansów i stereotypów.

Dlatego Kotański pozwala niezamierzonym piętnastolatkom mówić do



DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSKY

FURIAT

— Może byś usiadł — zaproponował Kostro, z niepokojem spoglądając na trzymane przez chłopaka widły.

— Muszę pomścić swoją krew! — Piotrowski zdawał się nie słyszeć jego słów.

— Siadaj! — powtórzył Kostro. — Wtedy porozmawiamy.

Atak był momentalny. Ostrze widła przebiło brodę Kostro. Przyciskając skaleczenie ręką cofnął się do drzwi prowadzących do pokoju. Żona z córką się przebudziły, a i Krzysiek już nie spał; wtulony w koldrę — toczył po kuchni przerażonym wzrokiem.

— Ściga mnie milicja — powtórzył Piotrowski mierząc widłami w kobiety. — Dajcie mi chleba i słoniny!

— Uspokój się, Sławek — Kostro starał się nadać swojemu głosowi ton miękkości i uległości. — Jeśli masz do nas jakiś żal, to zabieraj, co chcesz, ale je zostaw w spokoju.

— Macie pięć minut! — prawie już krzyczał Piotrowski. — Jeśli w tym czasie nie dacie mi chleba i słoniny, zabiję Krzyska! — Postąpił krok w kierunku chłopca, ostrze widła kierując w jego piersi.

— Ale my nie mamy słoniny — wykrztusiła Sabina Kostro.

— Dajcie mu, co chce — ponaglił Krzysiek. — Nie widzicie, że on jest szalony?!

— Przynieś chleba — polecił córce Tadeusz Kostro, a sam wycofał się w głąb pokoju. Drugimi drzwiami wyszedł na podwórko i usiłował zająć Piotrowskiego od tyłu.

Krystyna położyła bochenek na miejscu wskazanym przez Piotrow-

— Tadeusz Kostro ścisnął w dłoni obły kształt styliska. Nie namyślając się ruszył na Piotrowskiego. Skrzyżowały się ostrza widel.

Dojmujący chłód zamazywał sennie majaki, pozostawiając tylko jedno wyraziste uczucie — ból. Z trudem rozprostowywał zgrabiałe dłonie, długo masował skostniałe nogi, nim pobudził w nich odrobinę ciepła.

Siedział na pieńku pośrodku lasu, otoczony rzędami nagich drzew, nie wiedząc, skąd i dlaczego się tu wziął. To było chyba wczoraj. Wracał od siostry ze świąt. W autobusie poznał chłopaka. Janek... Nazwiska nie pamięta, a może wcale nie zna. Wysiedli w miasteczku, poszli do knajpy na jednego. Wypili po 100 gram i trzy piwa. Potem rozstali się. Szedł drogą do wsi... Nie, nie przypomni sobie.

Podniósł się na nogi o świcie. Między pniami drzew zobaczył jasną plamę; tam kończył się las. Stamtąd już tylko 100 metrów do zabudowań Kostrow i z 600-700 — do granic wsi. Szedł powoli usiłując składać strzępki myśli w jakąś logiczną całość.

Matka, jak zwykle, leżała w łóżku; ludzki manekin, bezwolny, choć cierpiący. Ojciec też był w domu, wyjątkowo trzeźwy.

— Gdzieś się włóczył? — zamruczał na przywitaniu. — Milicja cię szuka. Dobrześ narozrabiał.

Powoli, wraz z opowieścią ojca, odmykały się kłapki pamięci: — We wsi mówią, że Kostrow chciałeś zabić. Wpadłeś jak wariat do chałupy, widłami groziłeś. Szczęście, że ci Tadek Kostro przeszkodził.

obyczaje



siebie „Słuchaj, Marek...”, on natomiast, 46-letni mężczyzna, zwraca się do szesnastoletniego młodzieńca per „stary”. Nie wydaje mi się to ani naturalne, ani rewelacyjne, a co najważniejsze — nie stanowi gwarancji dobrego porozumienia. Na Zachodzie „tykanie” praktykuje się w relacjach uczeń—nauczyciel, lecz nie rozwiązuje to niczych problemów, a przypadki odbierania sobie życia przez zagubionych i zdesperowanych uczniów oraz nauczycieli do rzadkości nie należą. Na „tykaniu” nie zamknął się wachlarz zagrań pod publiczność. Przykład bardziej typowy: Łomża, w której, *notabene*, nigdy nie był, powiedział: „wasze kultuńskie miasto”, a gdy większość młodzieży się zjeżyła, wycofał się natychmiast: „Warszawa też jest kultuńska”. W chwilę potem Łomża była już „sympatycznym, nieco sennym miastem”.

Kultunem i głupcem — jak się wydaje — jest dla Marka Kotańskiego każdy, kto myśli inaczej niż on. Zapewniał wprawdzie, że można z nim polemizować, lecz każda osoba, która zadała mu podchwytliwe pytanie, zgłosiła zastrzeżenie czy nie podzielała jego entuzjazmu, była obdarzana epitetem „ciotka”, „dziadek” lub „docent”, w zależności od płci. „Wielki Kotan” nie wysiadał się bowiem na rzeczową replikę, gdy można było młodemu przeciwnika zlekceważyć czy ośmieszyć. „Kapitulował” zupełnie wyjątkowo: „Tak, trochę szpanuję. A kto z nas nie szpanuje?”

politura szpanu

Nieudolnie maskuje ona niepewność i wewnętrzne rozdarcie Kotańskiego, ceniącego skromność, a pragnącego zaszczytów. „Mój ojciec — zwierzał się młodzieży — wybitny uczony, znający kilkanaście języków obcych, profesor *honoris causa* wielu uniwersytetów, zawsze uczył mnie skromności. Ja podobnie mówię moim narkomanom: «Pokochaj-

problemy w szkole i jak sobie z nimi radzili, odparł mało skromnie: „No właśnie, myśmy nie mieli takiego szczęścia, jak wy, bo taki facet, jak Marek Kotański, wówczas nie istniał”. Dodał, że zafascynowany był hippisami. Niestety, ten ruch się wyjałowił i zrodził narkomanów, niejako jego przyszłych pacjentów. Oddał swą wiedzę, czas i serce, by wyrwać ich z nalogu. Dopingowały go efekty pracy, wdzięczność narkomanów, uznanie społeczeństwa. Pewnie nie zauważył, kiedy sam się uzależnił: nie tylko od potrzeby pomagania innym; od potrzeby sukcesu przede wszystkim.

wielkie, nie liczy z konsekwencjami (patrz „Szpilki”).

Na łamach „Trybuny Ludu” (i nie tylko) zapowiadał, że będzie czyścić szalety, by „wstrząsnąć społeczeństwem i uderzyć w dzwon trwogi”. I uderzył — czystą szmatą po czystym pisuarze pod okiem telewizyjnej kamery. Babcię kłozetowe były bowiem uprzedzone, że przyjedzie telewizja, i wypucowały kibelki szczególnie starannie. „Tylko ja i garstka młodzieży — deklarował Kotański — nie wahałem się schylić dumnie uniesione czoło. Inni ze mnie zakpili, a ja sądziłem, że najliczniej ruszą do akcji nauczyciele...”

że ich wesprze w rozpropagowaniu ruchu w ich szkole. Siedzące obok dziewczyny mówiły mi, że u nich w szkole byłoby to niemożliwe. Gdy chciały się zwolnić z zajęć „na Kotańskiego”, nie uzyskały zgody, musiały więc „wykombinować” zwolnienia lekarskie. Licealistki publicznie zwierzyły się z trudności z zaszczepianiem idei w swojej klasie. Wychowawczynie akurat je wspomogły, nie było natomiast odzewu ze strony uczniów. „Zostałyśmy tylko trzy” — westchnieniem spuentowały relację. „Aż trzy — zareplikował Kotański. — Ja czułbym się silny,



WIELKI KOTAN



DANUTA WRONISZEWSKA

„Inni” są zakłamanii, obłudni, nie potrafią się wyzwolić ze swych póz i masek. Nie przychodzi Kotańskiemu do głowy, że może „innych” nie porywa udział w spektakularnych gestach, budujących sławę „Kotana”, nie więcej. Nie chce spojrzeć na siebie krytycznie i dostrzec, że źle akcję przemyślał. Sądzę, że większe powodzenie miałyby ona, gdyby nie chodziło o gest, a o efekt. Na przykład, gdyby proponował młodzieży odmalowanie upstrzonych niewyszukanymi napisami drzwi toalet, naprawienie zniszczonych przez siebie spłuczek, haczyków, wymianę — na własny koszt — pobitych luster czy „zgroszowanie się” na kafelki albo zebranie makulatury, by zamienić ją na papier toaletowy do wspólnej użycia, czy też odremontowanie zapomnianego szaletu publicznego. Propozycje można by mnożyć i każda byłaby lepsza od pokazowego wyrwania szmaty etatowym sprzątaczkom.

Wina za niepowodzenie obarcza jednak Kotański tych, którzy się nie dali ponieść jego słowom oraz... dziennikarzy: „Teraz znów mnie olali — skarżył się — nie podchwycili pomysłu na «mikołajki»: żeby ludzie mający ochotę podjąć herbatę i rozmowę kogoś samotnego zaznaczyli swą gotowość np. serduszkami przy swym nazwisku na spisie lokatorów”. Zignorowanie tej akcji wydaje mi się mniej zasadne. Pomysł jest sympatyczny, bo wielu jest samotnych, lecz wielu też takich, którzy chętnie obdarzyliby kogoś przyjaźnią.

zał

„czystych serc”

Zarówno idei, którą Kotański genialnie wymyślił i sam zaprzepaszczając, jak i tych „serc”, które przyszyły na spotkanie z nim w nadziei,

a wy się załamujecie?” Nie przekazał żadnej rady ani sposobu na zmianę niefatwych szkolnych układów; choćby tych, o których wspominał mówiąc, że młodzież bywa drapieżna, potrafi „zadziobać” zarówno inaczej myślącego kolegę, jak i nauczyciela, jeśli okaże swą słabość. Przyznał natomiast, że nawet w Szkołach Czystych Serc euforia mija po paru tygodniach, bo większości sprawa ta zwisa, innym brakuje pomysłów. Wie, że gdyby on pracował w takiej szkole, idea zostałaby wcielona w życie. Ale to satysfakcjonowałoby Korczaka, nie Kotańskiego!

Zamiast konkretnych rad, „zagrzewających ducha”, Kotański proponował młodym łomżanom manifestacyjne wyjście na rynek, by wstrząsnąć miejscowymi kultunami. Pomysł nie zyskał zwolenników. Spotkanie skończyło się więc podaniem sobie rąk i odśpiewaniem: „Przeżyj to sam”. Sam.

Odczucia młodzieży po tym spotkaniu były krańcowo różne. Ale zarówno zachowanie się jej podczas spotkania, jak i późniejsze opinie podobały mi się bez porównania bardziej niż ich idola, bowiem zachwyt czy wzruszenie, sceptycyzm czy dezaprobata były autentyczne, a szczerości, wzruszeń i wypowiedzi nie sposób nie docenić.

Ku memu zaskoczeniu — zadowolony ze spotkania był Marek Kotański: „Widziałas, jak na mnie patrzyli? Jak mnie słuchali?” — pytał panią impresario idol, zgłodziła potwierdzenia oddziaływania swego charyzmatu.

guru

cie szarość życia, nauczcie się odróżniać i doceniać odcienie szarości». Dla narkomanów, byłych, dzisiejszych i przyszłych, jest to rzeczywiście dobra dewiza; nawet dla tzw. szarych obywateli, bo oni nie mają innego wyjścia. Marek Kotański wyrwał się z anonimowości parę dobrych lat temu, a nawet zdobył sławę. „Nie wiem — zastrzegam się — czy jestem idolem; wiem, że jestem bardzo, znany. Jestem najlepszym w Europie, a może i dalej, specjalistą od spraw narkomanii. Jestem członkiem międzynarodowego... odznaczony...” itp.

Gdy młodzież zapytała go, jakie on sam i jego rówieśnicy mieli

Kotański niewątpliwie narkotyzuje się rolą przewodnika duchowego i idola młodych, swą siłą przebiecia, blaskiem jupiterów. Potrzebuje codziennej dawki sławy i uwielbienia. Do Łomży przyjechał na silnym głodzie, tuż po nieudanej akcji „Kupa, mości panowie”, stąd zapewne też spektakl, który można by zatytułować „Kotański — jakim chce, byście go widzieli”, więc genialny. Żaden tam „facio za dyche”, lecz równy facet, otwarty, szczerzy, bezpośredni. Niestety, przez niektórych okrzyknięty blaznem i kabotynem, bo rzuca się na rzeczy

zbliznienia



Niespodziewanie przyszedł kres kariery mistrza szabli. Krótką informację Pol- skiej Agencji Prasowej, opar- trzoną tytułem „Sledztwo przeciwko Jerzemu Pawłowskiemu”, przyjęto z niedowierzaniem: „[...] jak dowiaduje się PAP, w ostatnim czasie orga- na Prokuratury PRL wszczęły sledztwo przeciwko Jerzemu Paw- łowskiemu, znanemu szabliscie, w związku z podejrzeniem o dopusz- czenie się przestępstwa przeciwko podstawowemu interesom państwa. W stosunku do Pawłowskiego zo- stał zastosowany środek zapobiegaw- czy — areszt tymczasowy. Sledztwo trwa”. Potem był proces, kilka re- portaży w krajowej prasie, ogłosze- nie wyroku, na mocy którego sza- blista-spieg skazany został na 25 lat pozbawienia wolności. Po osta- tecznym zakończeniu sprawy nazwi- sko mistrza przestało funkcjonować w publicznym obiegu. Po latach Je- rzy Pawłowski ponownie wrócił na łamy gazet, jakby zaskakiwanie tzw. opinii było jego cechą. Były szabli- sta nie skorzystał z propozycji władz amerykańskich: wymiany na zatrzy- manego w USA pracownika nasze- go wywiadu. Jerzy Pawłowski nie przekroczył granicy między stolicą NRD a Berlinem Zachodnim i wró- cił do kraju. Wcześniej zakończono postępowanie ulaskawieniowe z po- zytywnym skutkiem.

W czasach życiowej prosperity Pawłowskiego jego sylwetkę szkico- wano nachalnie grubą krechą. Po ujawnieniu związków sportowca i oficera z amerykańskim wywiadem krecha dalej była gruba, ale zmie- niła kolor z jasnego na czarny. Ty- tuły: „Anatomia zdrady”, „Złamana klinga zdrajcy”, „Kupiec i sprze- dawczyk” itp. — należały do typow- ych, tak jak opinie kolegów, współpracowników i dziennikarzy, którzy dotąd nie skapili słów zachwy- tu. Ich optyka diametralnie się zmieniła, gdy przyszło do składania zeznań w charakterze świadków przed sądem.

Z akt sądowych: „Stanowczo stwierdzam, że na początku kariery sportowej Jerzego Pawłowskiego, zwanego cudownym dzieckiem, żył on w atmosferze zachwyty wyraża- nego dla jego talentu. Jego chytryść i przebiegłość sprawiły, że z całym uporem dążył do uzyskiwania z ty- tułu swojej pozycji w sporcie mak- symalnych dochodów. Powszechnie było wiadomo, że etyka i postawa moralna Pawłowskiego pozostawiają wiele do życzenia, poza tym przeja- wiał skłonności do nawiązywania znajomości i bliższych kontaktów z wieloma kobietami. Z tego też względu jego sposób bycia i postę- powania w określonych sytuacjach, stworzonych systemem panującym w sporcie, miał także demoralizują- cy wpływ głównie na środowisko młodzieżowe. [...] Pawłowski był chorobliwie chytry na pieniądze i wykłócał się o każdą złotówkę”.

„Był wielkim egoistą, własne po- wodzenie zawsze stawiał na pierw- szym miejscu”.

„Twierdząc, że jest to człowiek in- teligentny, o żywym usposobieniu, jednocześnie skryty i przebiegły w dziedzinie własnych interesów”.

„Jego ujemne cechy charakteru i ujemne oddziaływanie na zespół szczególnie objawiły się od roku 1968, w zasadzie do końca kariery. Stał się wtedy szczególnie zarozu- miaty, pewny siebie i wprost mogę powiedzieć — brutalny cham”.

Fragmenty prasowych relacji: „Pa- włowski będąc posiadaczem willi i mercedesa oraz stałym gościem eks- kluzywnych polowań, żył jak kapi- talista, posiadał ambicje nie tylko sportowe. [...] Ten krępy, raczej nieudolnie poruszający się sporto- wiec o wysokim i twardym czole, który żył według przypisanej Molie- rowi dewizy „szermierka to sztuka trafiania nie dając się samemu tra- fić” — jak żaden inny w rozentu- zjowanej w sporcie Polsce uwa- żany był za rozpieszczanego idola narodowego”.

„[...] podziwiamy ich, nie wiedząc, jakimi są naprawdę w życiu, poza bieżnią i poza ringiem, planszą. Go- nią za łatwym życiem, za zaspoko- nieniem wybujałych ambicji, dla pie- niędzy”.

Potem jest rozczarowanie: Pa- włowski, Kozakiewiczem, ostatnio — siostrami Tłalkami. Nie wystar- cza nam to, że wysoką skaczą, szyb- ko biegają, celnie trafiają — ko- niecznie chcemy przypisać im nad- zwyczaj gorące uczucia patriotyczne, bezinteresowność, robimy z nich in- telektualistów, stawiamy pomniki. Kiedy spadają z postumentów, czu- jemy się oszukani — zapominając,

Ciekaw byłem tego spotkania, ciekaw byłem człowieka, który przez wiele lat był idolem, autorytetem powołanym przed telewizyj- ne kamery, sportowcem 30-lecia PRL, przykładem do naśladowania z życiorysem tak podręcznikowo klasycznym: syn przeciętnej, ubo- giej rodziny, dzięki talentowi i pracy, ale również dzięki warunkom stworzonym w powojennej Polsce, osiąga życiowy sukces — me- dale na igrzyskach olimpijskich i mistrzostwach świata, mundur oficera Wojska Polskiego, studia wyższe, etat adiunkta w wojsko- wej uczelni.

JANUSZ HĄDEREK

I ZNOWU BĘDĘ WIELKI



że sami po trosze byliśmy sprawca- mi oszustwa.

Duże mieszkanie w centrum Warszawy. W pokoju meble w „antycznym” stylu, na ścia- nach obrazy, także autorstwa Jerze- go Pawłowskiego. Pijemy kawę i toczymy banalnie wstępną, banalnie nijaką rozmowę. W końcu musi- paść to pierwsze, zasadnicze pytanie, bez którego dalsze nie mają sensu.

— Dlaczego został pan szpiegiem? Właśnie pan, idol, bohater, człowiek z pierwszych stron gazet, legitymu- jący się wysokim standardem finan- sowym.

— Złożyło się na to wiele przy- czyn — słyszę krótką, ucinającą w- tek, odpowiedź.

— Które były najważniejsze? — Trudno rzecz tak klasyfiko- wać, trudno określać, co było bar- dziej, a co mniej ważne. Stało się tak, jak się stało. Proszę jednak na- pisać, że swoją działalnością Polskę żadnej szkody nie wyrządziłem.

— Pojęcie „szpieg” ma jedno- znacznie negatywny wymiar. Nie pracował pan dla polskiego wywia- du, lecz obcego.

— Mówi pan, że słowo „szpieg” brzmi negatywnie, a przecież wszy- stko zależy od tego, kto dokonuje oceny. Tak naprawdę szpiegiem był również np. Piłsudski, z obcymi wy- wiadami współpracowały znane z historii postacie, rzecz tylko w tym, czy ta współpraca dotyczy akurat „dobrego” czy „złego” wywiadu. We- dług pana ja akurat miałem nie- szczęście kontaktować się ze „złym” wywiadem. Zresztą, pomijmy szcze- gółowe rozwijanie tej kwestii; za- trzymajmy się na moim stwierdze- niu, że nie wyrządziłem krajowi żadnej krzywdy.

— Niech pan szerzej uzasadni swoje przekonanie.

— Nie wyrządziłem szkody Polsce jako takiej, lecz co najwyżej Polsce umiejscowionej w konkretnym ukła- dzie politycznym.

— Czyli odróżnia pan Polskę w ogóle od Polski socjalistycznej?

— Tak.

Jerzy Pawłowski, „Trud olim- pijskiego złota” (MON, 1973): „Wiele razy ludzie pytali mnie, jak się człowiek czuje, kiedy stoi na górze i grają „Mazurka”, kiedy idzie do góry biało-czerwona flaga na sam szczyt środkowego ma- sztu. Nie wiem, czy potrafiłbym odpowiedzieć. Nie wiem. Są to prze- życia inne, niecodzienne, wręcz fan- tasyjne. Przeżycia, które wynagra- dzają nie tylko wysiłek tych walk bezpośrednio prowadzących do zwy- cięstwa, ale wysiłek wszystkich. Nasz wspólny sukces, triumf pol- skiego sportowca. Radość wielu Po- laków w kraju i poza granicami Ojczyzny. Radość przemożna, rozsa- dzająca pierś. Człowiek by ryknął na całe gardło w ten tłum, wszy- stko jedno co, byle jak najgłośnie- j, byle jak najdalej. [...]”

Powoli, krok za krokiem, wcho- dzimy na płytę boiska. W mrokach nocy widać oświetlone trybuny. Ty- siące głów. Nad boiskiem teraz ze zdwojoną siłą roznosi się pogwar ludzkich głosów, przypominający potężny szum morza. Wzbijają się kolorowe race. Tysiące gwiazd na niebie. Robi się widno jak w dzień. Tańczą jak Grek Zorba w rytm własnej melodii uniesienia. Jestem szczęśliwy.

Autor nie wiedział, że wówczas, w 1968 roku, ktoś dyskretnie obser- wował nie tylko sportowe sukcesy mistrza szabli w Meksyku, ale prze- de wszystkim spotkania prywatne — jeżeli tak je można nazwać — re-

prezentanta Polski. Pawłowski stał się bowiem osobą, którą zaintereso- wał się polski kontrwywiad.

Plk Romuald Zajkowski z Mi- nisterstwa Spraw Wewnętrz- nych, który zajmował się usta- laniem powiązań i zakresu działania kolejnego szpiega, przypomina- so- bie fakty sprzed 18 lat: — Zbliża- się Olimpiada w Meksyku, którą w kategoriach służbowych zaintereso- wał się również nasz kontrwywiad, ponieważ otrzymaliśmy informację, że kadrowy pracownik wywiadu amerykańskiego, znający język pol- ski, został delegowany do Meksyku, gdzie będzie działał w oparciu o na- szą ekipę narodową.

— Informacja była nader skąpa: pracownik wywiadu, znający język polski...

— Wiedzieliśmy więcej; nawet to, kim był ów agent. Zostawało tylko ustalenie, z kim się będzie spotykał. Spotkał się z Jerzym Pawłowskim.

— Mogło to być spotkanie przy- padkowe.

— W pracy wywiadu nie ma te- go typu przypadków, zresztą nasze późniejsze działania wykluczyły po- myłkę. Jerzy Pawłowski był szpie- giem.

— Upięknęło kilka lat, zanim zo- stał aresztowany.

— Kontrwywiad rządzi się usta- lonymi zasadami, które sprawiają, że czasem pozwalamy „pracować” agentowi, bacznie go obserwując. Bywa, że chodzi o uchwycenie wszy- stkich nici, wszystkich powiązań. Do finalizacji sprawy dochodzi w wybranym przez nas, najlepszym momencie.

Kilkudziesięciostroonowy tekst; w lewym rogu: „mjr Jerzy Pawłowski. WAP”, w prawym — „War- szawa, dnia 23.04.1975 r.” Tytuł: „Oświadczenie”.

„Wezwany przez organa WSW na dzień 17.04.1975 r., po gruntownym przemyśleniu postanowiłem ujawnić całość swojej działalności skierowanej przeciwko bezpieczeństwu naszego kraju, a tym samym przynajmniej częściowo zmniejszyć skutki swego postępowania i aktywnie przyczynić się do wyjaśnienia całości sprawy przez organa ścigania. Dotych- czasowe ustne wyjaśnienia, które w całości potwierdzam, postaram się szczegółowo opisać w niniejszym oświadczeniu.

Do współpracy z wywiadem ame- rykańskim zostałem wciągnięty wios- ną 1964 r. na terenie USA — New York w czasie pobytu na zawodach sportowych w następujących ok- licznościach. W okresie tym zame- szkiwałem w hotelu New York Athletic-Club. Otrzymałem jednego dnia telefon od Polaka, w którym za- proponował mi spotkanie [...] w ja- kiejs restauracji. Spotkało mnie dwóch panów mówiących jeden b. znakomicie po polsku, drugi z du- żą trudnością podając, że bardziej rozumie, aczkolwiek mówił. Z tych dwóch osobników jeden drugi czas- ze mną się spotykał, był nim Ko- walski (Ryszard), drugim nie był Polak, choć powoływał się na ja- kieś babki w rodzinie. [...]”

Spotkanie zaczęło się banalnie, od sportu i pogody — dopiero mi nogi ścierpły, gdy powiedział, że pra- gną tylko powiedzieć potwierdzenia kilku faktów i podania pewnych in- formacji. Sytuacja dzisiaj z perspek- tywy czasu wygląda o wiele łagod- niej aniżeli wówczas. Moi rozmów- cy [...] pozostawili mi czas do na- myśłu. Za kilka dni spotkali mnie ponownie kontaktując się telefo- nicznie. Był to dla mnie straszliwie ciężki okres, bałem się tego wszy- stkiego i nie bardzo wiedziałem, co mam robić. Powrót do kraju był dla mnie najbardziej oczywistym i nie mógł być naruszony.

Spotkanie odbyło się jeszcze raz w restauracji hotelowej Central Park South [...] rozmówcy przedstawili mi perspektywę rozwoju mojego w USA, możliwości pracy, zarobków, a przede wszystkim współpracy z ni- mi. Zgodziłem się wstępnie. Sprawa stanęła na tym porozumieniu, po- nieważ ja wyjeżdżałem do Europy, zapytali tylko o najbliższy mój wy- jazd na Zachód — była to Radawa Włochy. [...]”

Nastąpił wyjazd do Włoch — li- czyłem, że może się nie zjawiać. Niestety — mój anioł stróż był już na miejscu, to znaczy ten, którego nie znam ani imienia, ani nazwiska — ten straszak pokazał mi się na trybunie i gdy go zobaczyłem — znikł. Wydawało mi się, że dalej mnie tylko pilnował. Przyznaję, że był to dla mnie ciężki okres. Za- pomniałem powiedzieć, że już w Nowym Jorku proponowali mi

pomoc finansową w dolarach. [...] Po zawodach w hotelu otrzymałem telefon — mówił Kowalski, o przyrzeczeniu porozumiewania przypominał. Zapropomował jeden z hoteli. Na spotkanie przybył nowy człowiek, przedstawił mi go Kowalski, był nim wyższy urzędnik, wyglądał, że co najmniej szef wywiadu — nie pamiętam dobrze nazwiska, chwalił się, że był kierowcą, jeździł na torach, pokazywał zresztą, jak należy pracować.

Zaczęło się jak zwykle od samych uprzejmości i ponowienia propozycji. Nazwę go umownie Lungwist — pytał mnie, ile mam garniturów, odpowiedziałem — cztery, z uśmiechem dodał, że on ma czterdzieści i że ja mogę mieć również. Rozwinął wspaniałość USA, perspektywę współpracy i urzędzenia mnie w USA — do zagadnień współpracy przystąpili po dłuższym czasie [...] Wiedzą, że ja jestem kultury zachodniej, że oczywiście trzymam bardziej z nimi jak z Rosją Sowiecką. [...] Nie będę się rozczulał nad sobą — można powiedzieć, że mnie całkowicie przekonali o tym, co postanowiłem zrobić. [...]

Następnie — drugie spotkanie w Padwie w tym samym składzie: Lungwist — Kowalski było finalne. Nacisk z ich strony — zwołanie z mojej. Wydaje mi się, że tę rolę odegrałem znakomicie. Radość po wypowiedzeniu „tak” była u nich tak wyraźna, że mnie mają. [...] Nie podpisywaliśmy ze sobą żadnej umowy wiążącej. Postanowiłem ten moment jakiegoś pisemnego oświadczenia w moim rozumieniu odciągnąć w przyszłość. Jeszcze w Padwie zapropomowali mi 100 dolarów — na pierwszym spotkaniu, ot tak na drobne wydatki. Odruchowo odmówiłem — namawiali, że mnie rozumieją, że nie chcę pieniędzy, ale przecież mi się przydadzą. [...] Przystąpili jeszcze do uzgodnienia mojego pseudonimu — proponując mi numerację lub jakieś nazwy — byłem na to już przygotowany. Zapropomowałem im „Paweł”. Kowalski natychmiast zaopomował, zaczęli coś między sobą szybko po angielsku uzgadniać, zapropomowali zmianę jednak — podkreślając, że nie jest to najlepszy pseudonim. Kowalski wręcz nie chciał się zgodzić, ja się uparłem i tak pozostało „Paweł”.

Do kieliszków nalewa koniak. Chętnie mówi o swojej młodości, o starcie do sportowej kariery: — Już w szkole średniej byłem dobrze zapowiadającym się sportowcem. Zaczynałem od boks, ale szybko rzuciłem tę dyscyplinę; nie lubiłem bić ani być bitym. Przerzuciłem się na lekkoatletykę. Trafiłem w końcu na szablę i ugrzązłem w szermierce na całe życie. Najpierw byłem w „Gwardii”, potem znalazłem się w „Legii”. Wojsko chciało mnie mieć u siebie. Po przysiędze usłyszałem od dołdów: „Wy, Pawłowski, macie tylko trenować i robić wyniki”. Zostałem więc przy wojsku, dokończyłem maturę, dostałem pierwszy stopień oficerski. Zamarzyła mi jednak szkoła filmowa w Łodzi. Przebrałem przez wszystkie selekcje i dopiero na ostatnim etapie oblał mnie profesor Toeplitz, swoje dołożyła także specjalna komisja społeczna. Moje plany o zawodzie operatora filmowego zostały definitywnie przekreślone. Ale nie wszystko przegrałem. Na egzaminie z malarstwa zrobiłem, pach-pach, obrazek, a kiedy zobaczył go profesor Jerzy Mierzejewski, od razu powiedział: „Przychodź, będę cię uczył, masz talent”. Miałem nie spotykane wycieczki perspektyw, koloru, światła. Kupiłem sztalugi i zacząłem malować. To moje malarstwo rozwinęło głębiej w więzieniu. Nie żałuję, że nie zostałem operatorem. Ugrzązłbym w tym trudnym, filmowym świecie.

— Świat ten rządzi się konkurencją... — To nie jest czysta konkurencja, jaką lubię i stosuję, lecz świat układów, podchodów, bezwzględności. Ja tak nie potrafię. — Skoro o czystych sytuacjach mówia, zacytuje panu fragment raportu Marii Osiadacz z „Prawa i Sprawiedliwości”: „[...] wielbicieli talentu Jerzego Pawłowskiego kształtowali w nim na podstawie jego wypowiedzi na zawodach sportowych. Ta opinia, jak się okazuje, miała się z oceną jego sylwetki w najbliższym środowisku sportowym. [...] także wśród ludzi powiązanych towarzysko.

Ilustracją jego sposobu bycia będzie tylko jeden przykład Pawłowski niewątpliwie uważał się za wyjątkowo ponad poziom

swoich kolegów. Wykorzystywał to we wszystkich możliwych okazjach. Również po to, by nie tej pozycji nie mogło zaszkodzić i nie poddać w wątpliwość. Jeden z dziennikarzy sportowych napisał kiedyś artykuł, w którym zaatakował metody pracy [...] kadry kierowniczej Polskiego Związku Szermierczego. [...] Natychmiast do redaktora naczelnego przyszedł list ze Związku domagający się ustanowienia dla dziennikarza zakazu pisania na temat szermierki w ogóle. Pod tym listem podpisany był prezes związku, czyli Jerzy Pawłowski.

— Nie przypominam sobie takiego przypadku. Być może ktoś za mnie podpisał list. Ja mam na sumieniu tylko starcie z red. Płofskim, który wypisywał bzdury na temat szermierki. Ja o względy dziennikarzy nie zabiegałem. Widać jestem bardzo sympatyczny, swobodny, i to podobało się panu kolegom. Ciągłe prosili mnie o wywiady, wypowiedzi, czasem nawet opędzić się nie mogłem. Potem boleśnie odczułem to, co ci sami lu-

żoną pozostać i zwiędzić trochę Francję, oczywiście się zgodziłem.

Przekazano mi gdzie mam się zgłosić po bilety lotnicze do Cannes i że stamtąd do hotelu Juon-les Pins dowiedzie mnie taksówka, bodajże kierunkowa. Oni opłacą wszystko za mnie i za żonę, a jej niech coś skłamię. [...] Nadawali mnie kierunek działalności, możliwości wejścia do Sztabu Generalnego [...]. Pytali mnie o obstawę stanowisk, czy Partia ma na to duży wpływ i jaki i oczywiście kto. Uczono mnie przede wszystkim, że interesuje ich wszystko, nawet ogłoszenie o zapotrzebowaniu pracowników, ruch transportów wojskowych — współpraca, dyslokacja jednostek, jaka siła liczebna. Zwracano uwagę na charakterystyki osób wojskowych, ich słabości, wykształcenie itp. Po tych kilku dniach moi rozmówcy wyjechali — ja jeszcze pozostałem zwiędzając wybrzeże.

— Był pan oficerem, wiedział pan zatem, co to jest wywiad.

— Jakim ja tam byłem oficerem i co miałem z wojskiem wspólnego!

był tak groźnym przeciwnikiem, że wzorem filmów sensacyjnych, należało się go pozbyć, i to w sposób z prawem nie mający nic wspólnego. Tymczasem prawda wyglądała bardziej prozaicznie. Faktem jest, że Pawłowski pod względem przekazywanych informacji był raczej drugorzędny agentem, a obserwacja jego poczynąń aż przez 7 lat uwarunkowana była względami wynikającymi ze specyfiki naszej służby. Chodziło także o zgromadzenie niepodważalnych dowodów zdrady, które można byłoby przedstawić sądowi. Była to mozolna i trudna praca, bo Pawłowski spotykał się bezpośrednio z kadrowymi pracownikami wywiadu amerykańskiego. Nie było listów, tajnych skrytek itp. Nie zapominajmy, że sprawa nie dotyczyła jakiegś tam anonimowej, tuzinkowej postaci, lecz człowieka o głośnym nazwisku w kraju i za granicą. Wszystko z naszej strony musiało być dopięte na ostatni guzik.

— Kiedy przeglądałem akta, natknąłem się na dziesiątki zeznań



dzie wypisywali o mnie. Kilku dziennikarzy stwierdziło nawet, że gdyby mogli przewidzieć rozwój wypadków, nie dopuściliby do ogłoszenia mnie sportowcem 30-lecia PRL! Jakby to, co zrobili dla polskiego sportu, można było ot, tak sobie, wymazać z historii.

Z „Trudu olimpijskiego złota”: „Po paryskich mistrzostwach wyjechaliśmy z lwonką na dwa tygodnie na Łazurowe Wybrzeże. Zostaliśmy zaproszeni przez polskich i francuskich przyjaciół. [...] Czas ten dzielimy na zwiedzanie, nawet próbujemy grać w Monte, z całym co prawda powodzeniem, ale lekkie dodatki dewizowe są mile widziane. Bywamy też na różnego rodzaju przyjęciach i kolacjach. [...] Czas mi się dłuży z każdym kilometrem zbliżającym nas do kraju. Ale oto wreszcie moja Warszawa, miasto wzlotów i upadków, bardziej droższe niż wszystkie pozostałe na świecie”.

Z akt sądowych: „Zgodziłem się na wyjazd do jednego z kurortów Zonie powiedziałem, że sprzedałem aparat fotograficzny i za to fundujemy sobie urlop. Po przyjeździe na miejsce odbyłem kilka spotkań — było to właściwie przeszło kolonia”.

Z oświadczenia złożonego w kwietniu 1975 r. w WSW: „Przez pewien okres pobytu na mistrzostwach świata w Paryżu miałem spokój, nikt się nie pokazał — dopiero pod koniec imprezy na sali zjawił się na krótko sam Lungwist i składając mi gratulacje podał hotel, w którym miałem się spotkać na krótko. Był również Kowalski. Zapropomowali wyjazd z Paryża na Cote d'Azur. Zasugerowali zwolnienie się na 2 tygodnie z prośbą o pozostanie (miałem się zwrócić do ministra Sznajdera, który był wówczas moim kierownikiem). Poprosiłem, że chcę z

Byłem tylko wybitnym sportowcem w wojskowym mundurze.

— Ale kulisy pracy wywiadu i niebezpieczeństwa z tym związane musiały być panu znane. W działaniu agenta wkalkulowana jest wpadka.

— Ja ją wkalkulowałem. Jak mówi się „A”, trzeba powiedzieć i „B”. Tak naprawdę jednak tajemnic wojskowych nie znałem, więc nie mogłem ich ujawnić.

— Coś pan jednak przekazywał... — Charakterystyki osób, drugorzędne informacje, często takie, które Amerykanie i tak już znali. Prawdopodobnie chodziło o potwierdzenie. Zresztą pasjonowała mnie ta gra, podniecało ryzyko.

— Aż podniecało? — Praca w wywiadzie jest sztuką. Miałem satysfakcję, gdy przekonałem się, że nasz kontrwywiad jest na moim tropie, a nie może mnie zdjąć. Gubiłem za sobą ogon. Myliłem pogonię. I w tym też byłem dobry.

— W końcu jednak pana zatrzymali...

— Najpierw nasi chcieli mnie sprzątnąć.

— Nie udało się?

— Jak pan widzi. Byłem przewidyującym i dlatego trudnym przeciwnikiem.

— Czy sądzi pan, że gdyby rzeczywiście służbom specjalnym założyła na „sprzątnięciu” pana, zadała nie takie nie zostałyby wykonane?

— Jestem przekonany, że chcieli tylko im się nie udało.

*

Płk Romuald Zajkowski z MSW. — Opowieści Jerzego Pawłowskiego o zamiarze „załatwienia jego problemu” są oczywiście fantazją. Snując wizję zagrożenia z naszej strony próbuje się dowartościowywać

świadków rysujących obraz pana osoby w nie najlepszym świetle

— Wielu z tych świadków mogło wreszcie leczyć swoje kompleksy, dać upust zawiści. Nigdy nie osiągnęli tego, co ja. Sukces bywa grzechem nie do wybaczenia.

— Mówiono nader chętnie o pana finansowej pazerności, o uprawianiu nielegalnego handlu przy każdym zagranicznym wyjeździe, o wyjątkowym skapstwie.

— No i dobrze! Nigdy nie miałem kłopotów z naszymi i obcymi celnikami.

— Może dlatego, że nazywał się pan Pawłowski?

— Na granicy wpadali równie sławni ludzie. Jeżeli coś tam kiedyś sprzedawałem, a nigdy nie był to żaden przemyt, do transakcji dochodziło maksymalnie dyskretnie. Dbałem o to, by nawet drobnym handlem nie plamić honoru polskiego sportu. Zysków wielkich nie osiągałem. Także nie dla zysku współpracowałem z amerykańskim wywiadem.

Z uzasadnienia wyroku wydane-go przez Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie: „Oskarżony Jerzy Pawłowski podczas rozprawy sądowej przyznał się do przystąpienia do współpracy z wojskowym wywiadem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w lutym 1964 roku, do systematycznego przekazywania agentom tego wywiadu zbieranych przez niego w Polsce wiadomości z dziedziny wojskowej, politycznej, gospodarczej i społecznej, do przyjęcia obietnicy przekazywania na jego konto założone w centrali wywiadu pieniędzy oraz do przyjęcia za współpracę z wywiadem łącznej kwoty 1850 dolarów USA. [...] Odnosnie pobudek działania podał, że





Nikt w rodzinie Genowefy Sobocińskiej nie był nauczycielem, a i ona swoich życiowych planów nigdy nie łączyła z tym zawodem. Marzyła o medycynie. Choroba ojca zniweczyła te zamiary. Absolwentka Liceum Ogólnokształcącego, a potem Pedagogicznego w Łomży, przekroczyła próg wiejskiej szkoły w Jarnutach.

— Czy się bałam? Chyba tak. Każda praca wymaga odpowiedzialności, lecz ta szczególnie: za wychowanie, naukę, sposób myślenia — mówi Genowefa Sobocińska, wicedyrektorka Szkoły Podstawowej nr 1 w Łomży. — Jeżeli ktoś wybiera ten zawód świadomie, to zna, że nie boi się pracy, choćby miał, tak jak my, prawie 3 tysiące dzieci.

Są nauczyciele, których pamiętamy do końca życia. Przekazywali nam nie tylko wiedzę; wpajali zasady współżycia społecznego, wychowywali, często zastępując rodziców. Idealem pedagoga pozostanie na zawsze dla Genowefy Sobocińskiej pan Zajkowski, jej nauczyciel w Szkole Podstawowej w Kupiskach, a ponadto pan Radziwonowicz, pan Jagas i pan Kozłowski z Liceum Ogólnokształcącego. Podziwiała ich za stoicki spokój, szacunek dla ucznia, ciekawe dyskusje „o życiu”, a przede wszystkim — za partnerskie układy z młodzieżą. Wzorem nauczyciela, a przede wszy-

stkim akceptacji, czulego gestu, słowa. Jeżeli nie znajduje tego wśród najbliższych, szuka u innych ludzi. Pani Genowefa rozmawiała o tym z jego matką niejednokrotnie i nie zauważyła niczego niepokojącego, poza zadziwiającą opiekuńczością i troską o syna. I nagle któregoś dnia ta sama matka wyrzuciła go przez okno z czwartego piętra.

Miała wiejska szkoła ze skrzyżowaną podłogą i bruchatym kaflowym piecem miała w sobie coś z domowego nastroju. Nauczyciel znał nie tylko wszystkich swoich uczniów, ale także rodziców. W mieście, przy anonimowości i obojętności na ludzkie problemy, trzeba dużo czasu, aby zorientować się w porę, zareagować, wyciągnąć rękę, zapobiec tragedii. Nauczyciel musi umieć zachować

Kiedy weszła, po klasie przeleciał szmer: „Jaka młoda...” Trema nie pozwalała ruszyć się z miejsca ani przemówić. „Chyba straciłam głowę” — pomyślała i chwyciła się ostatniej deski ratunku: sprawdzenia listy obecności. To była lekcja biologii w VI klasie, a tematu nie zapomni nigdy: „Budowa gołębia”. Jak długo można mówić o jednym ptaku, zwłaszcza pod ostrzałem tylu par oczu? Wówczas chłopcy, przewyższający wzrostem swoją 19-letnią nauczycielkę, zupełnie nieświadomie przyszli jej z pomocą: okazali się zapalonymi hodowcami.



PARTNER

DLA PARTNERA

stkim wychowawcy, jest także dla pani Genowefy dyrektor Liceum Pedagogicznego, Włodzimierz Fedyś.

— Właściwie wiedział o nas wszystko: dlaczego ktoś ma przetarte ubranie lub dziurawe buty, komu z trudem przychodzi nauka, co jemy, jakie są nasze życiowe plany. Wyjaśniał, czego oczekuje od nas społeczeństwo, jakie długi zaciągniemy wobec ojczyzny i szkoły.

Być nauczycielem — znaczy: uczyć, ale przede wszystkim wymagać od siebie. Wierna tej zasadzie, wkrótce pani Genowefa rozpoczęła studia na SN-ie w Białymstoku. Wybór padł na filologię rosyjską. Przez rok uczyła się też w Związku Radzieckim.

— Miałam szczęście w życiu, bo zawsze spotykałam na swojej drodze wspaniałych nauczycieli. Studia dały mi wiele satysfakcji, bo byłam słuchaczem takiego autorytetu, jak docent (dziś już profesor) Marian Jurkowski. Miał zawsze dla nas czas, choć brakowało mu go dla siebie. To on ścigał z całej Polski w swojej walizce grube tomiska, potrzebne nam przy pisaniu prac magisterskich, bez obawy pożyczając swoje książki i notatki. Wybierając zawód nauczyciela miałam to jedno marzenie: być takim nauczycielem, jak ci, których do dziś podziwiam. I zaraz zadawałam sobie pytanie: jak oni to robili?

Po ukończeniu studiów pani Genowefa rozpoczęła pracę z pierwszymi w Szkole Podstawowej nr 4 w Łomży. Tragiczna śmierć jednego z nich przyniosła szok i wątpliwość we własne siły. Wiedziała przecież, czego dziecko oczekuje od świata dorosłych; nie tylko jedzenia i ubrania, ale przede wszy-

się w każdej sytuacji, choć nie ma na to żadnej recepty. Zdany jest całkowicie na siebie wobec obowiązku niedopuszczenia do stanu bezradności pedagogicznej. Potrzebne jest mu spełnienie przynajmniej tych podstawowych warunków: poznania psychiki dziecka, jego sytuacji rodzinnej i metod wychowawczych w domu.

— Zawsze zwracam uwagę na to, czy dziecko ma swój kącik do odrabiania lekcji i w ogóle miejsce, w którym czuje się „u siebie”, gdzie nikt nie ruszy mu jego skarbow, choćby to były zwykłe szkiełka, kamyczki, kawałek sznurka, zardzewiały gwóźdź. Niech przylepia do ściany foty sportowców, aktorów, znaczki, proporce i co tylko sprawia mu przyjemność. Boli mnie, gdy widzę, jak rodzice urządzają mieszkanie według własnego gustu i chcą narzucić go dziecku; zabraniają, krytykują, ośmieszają. Przecież na to jest jeszcze czas. Dziecko ma prawo do własnego świata. Czy w warunkach „nie wolno”, „nie pozwalam” można realizować proces wychowawczy w rodzinie? Czasem wydaje mi się, że to sami rodzice wymagają solidnej nauki w tym względzie. Wychowanie jest

sztuką i tacy pedagodzy jak Korczak rodzą się rzadko, ale przecież to wzór, więc mamy z czego brać przykład!

Słaba miłość do własnego dziecka, często bezkrytyczna, może przynieść więcej szkody niż pożytku. To rodzice zwykle podejmują za ósmoklasistę decyzję wyboru przyszłego zawodu. „Jedynka” stawia na praktykę; spotkania z psychologiem, pedagogiem, pracownikami poradni wychowawczo-zawodowej, swoimi absolwentami, uczniami średnich szkół, przybliżają wyobrażenie o przyszłym zawodzie. Choć nie wolno za niego wybierać, ale też 15-latką nie można pozostawiać samemu sobie. Niby należy już do młodzieży, lecz to przecież jeszcze dziecko.

— Skąd bierze się opinia o złej młodzieży? Przecież to są skutki

Samorząd szkolny, harcerstwo, kółka zainteresowań — to wszystko może odciągnąć od zła; w nich dzieci mogą wykorzystać swoje zdolności, rozwijać zainteresowania, wykazać w pracy społecznej. Serca uczniów „Jedynki” podbił Alex Eckert i jego „Złota gęś”. Dzieci są spontaniczne, wiedzą, czego chcą od dorosłych. Muszą odczuć, że są potrzebne. Może dlatego właśnie najlepiej oddarzyć zaufaniem największego rozrabiającego i powierzyć mu np. pilnowanie porządku podczas dyskoteki lub na przerwie.

— Partnerstwo nauczyciela i ucznia to nie żadna rewelacja. Mówią o tym sami rodzice, bo takie przyjacielskie stosunki odpowiadałyby im także w domu. Ale to tylko teoria. Ostatecznie zwycięża pas, który wybija wszelkie fanaberie „z głowy”. Wiem, jak to jest w rodzinach mojej 38-osobowej klasy. Rozmawiamy o tym na lekcjach i nie tylko. Pytam się nawzajem, jak nam minął dzień, tydzień, co było dobre, a co złe, kto zasłużył na krytykę, a kto na pochwałę. Dzieci chcą dyskutować, mówią szczerze, bez maski, co powinniśmy wykorzystać i w szkole, i w domu. Nie wolno ani wychowawcom, ani rodzicom zasłaniać się brakiem czasu, bo można nie zdążyć z ingerencją w to, co niesłuszne, złe. Trzeba być z dziećmi. Tak rozumiem partnerstwo.

Swoistym sieroctwem społecznym dotknięte są dzieci rodziców „za oceanem”. Modne ciuchy, komputery, zabawki rodzą żal, zawiść, podpowiadają tym „pokrzywdzonym” drogi rekompensaty, a więc konflikt z prawem. Gdy pani dyrektor próbuje przekonać matkę „dolarowego” dziecka, żeby modnie ubierała je po lekcjach, słyszy najczęściej odpowiedź: „Ma to, czego ja nie miałam”.

— W ten sposób uczymy je dzielić ludzi na lepszych i gorszych, bogatych i biednych, a przecież one muszą widzieć w sobie wartości, a nie pieniądze!

Uczeń nie może bać się nauczyciela. Musi mieć w nim oparcie. To przykre ze względu na rodziców, ale i satysfakcjonujące dla nauczycieli „Jedynki”, gdy u nich szukają pomocy. Zdarza się, że pukają do drzwi o różnych porach, bo w domu szaleje pijany ojciec.

Dzieci oszukiwać nie wolno. Trzeba umieć przyznać się przed nimi do błędów, przeprosić za popełniony nietakt, ale być konsekwentnym. Genowefa Sobocińska pamięta ucznia, który pomny zasady przyjętej przez klasę: „Do trzech razy sztuka”, wolał wagarować niż przyznać się do kradzieży roweru. Gdy sprawa się wydała, klasa całkiem rozsądnie go ukarała: został potępiony i odrzucony na jakiś czas.

— Podziwiałam ich konsekwencję. Przebaczali mi, ale musiał ciężko na to zapracować. Jeżeli moje zasady życiowe o tym zadecydowały, to znaczy, że osiągnęłam jakiś sukces.

Przychodzą do swojej szkoły po latach, w Dzień Nauczyciela i bez okazji. Opowiadają swoim wychowawcom o kłopotach, marzeniach, radościach. Najbardziej wzruszające są chwile, gdy któryś uczeń wsadza głowę do pokoju i pyta: „Jak się pani dzisiaj czuje, pani dyrektor, bo była pani taka smutna na lekcji?”

— Nauczyciel nie jest urzędnikiem — mówi pani dyrektor. — Ten zawód to służba społeczna. Skoro anonimowość mamy na co dzień w klatkach schodowych, niech przynajmniej nie będzie jej wśród rówieśników. Moim marzeniem jest uznanie przez naszych uczniów szkoły za drugi dom, a klasy za drugą rodzinę. Cieszę się, że jestem nauczycielem, i wierzę, że choć część mojej pracy nie pójdzie na marne. Dowody tego mam na co dzień. Chciałabym dać im to, co najlepsze w całym procesie wychowania, a przede wszystkim zrozumienie sensu własnego życia, bycia człowiekiem, wartościowym obywatelem kraju, miasta, członkiem szkolnej społeczności. Wiem, że nie zawsze to mi się udaje, ale jeżeli pomogę choć niektórym, jestem szczęśliwa.

Cóż, ojcu Wergiliuszowi było łatwiej: miał ich tylko sto dwadzieścia troje.

GABRIELA SZCZESNA

Wszyscy się u nas cieszą podług stołecznych życzeń od iks lat, a tylko Biesz ma manię podług być takim czymś na własny ład (KONSTANTY I. GALCZYŃSKI)

Donoszę, panie naczelniku, że w naszym mieście...

Ciechanowcu był kabaret. To znaczy jajca, wice, szpice i wygłupy. Najbardziej wygłupiali się Kapliński, Hałka, Sierocki i jeszcze parę i paru innych, ale to zwykła osłona dla prowadzących i nie o nich się rozchodzi.

Rozchodzi się o to, że Kapliński Marian, Hałka Józef, Sierocki Stanisław przez lata wkładali garnitury, krawaty i poważne miny, przez co zaczęli zażywać powszechnego szacunku współobywateli.

Kapliński poszedł nawet na to, że został świetnym specjalistą w presyjowym zawodzie lekarza, ordynatorem szpitala, i ludzie, zwłaszcza gdy wysiadało im serduszko, oddawali się w jego ręce z wiarą i zaufaniem.

Nie lepszy jest Hałka! Gdy tylko został kierownikiem Państwowego Domu Rencistów w Kozarzach, chodząc i mówiąc: „godne życie, godna starość, godziwe warunki. Nawet mniej mówił, a więcej robił, więc doprowadził do tego, że mimo nieszczęśliwego tytułu, zaczął być kimś.

Kapliński i Hałka, owszem, owszem, ale Sierocki to ho, ho! Wystarczy powiedzieć, że przez trzydzieści kilka lat nie było sprawy społecznej, żeby nie maczał w niej palców. Jeszcze w czasach, gdy krążył po wsiach rowerem, uparł się: jeśli jem chleb z tej ziemi, tu żyję, muszę dać z siebie coś więcej. I dawał. Ale o to też się nie rozchodzi. Rozchodzi się mianowicie o to, że kiedy już na dobre zwiedli społeczeństwo i obrośli w należyty prestiż, nagle pokazali, na co ich stać. Otworzyli kabaret! „Dobry wieczór Państwu! Bon sua madam et mesier! Gut twining leydyz end dzentelmen! Bona sera siniori e siniori! Zdrastuwicie gaspada! Jest to nasz program o jakże ciekawym tytule: „Medyk sex music show”. Program nasz został przygotowany przez silną grupę „B complex 86”.

Tfu do stu! Bo, co gorsze, ludzie ścigali ich wcześniejszym autorytetem teraz bili brawo!

Co dalej?

Kapliński Marian, ordynator oddziału wewnętrznego Szpitala im. prof. Ludwika Komczyńskiego w Ciechanowcu, siedzi w szlafroku, w szlafmycy, a sceniczna żona publiczna: „Nikt się na oko nie wyzna — a widzi, córeczko, mężczyzna”. Ludzie w śmiech!

Hałka Józef, kierownik Państwowego Domu Rencistów w Kozarzach, wyrzyna ze stojaka mikrofon i ryczy (co nazywa parodią): „Jak człowiek wierzy w siebie, to cała reszta baka, nie ma takiej rury na świecie, której nie można odetkać”.

Można by tak przez dwadzieścia jeden stron maszynopisu scenariusza, ale nie o to się rozchodzi. Rozchodzi się o to, że zamiast totalnej i oczekiwanej przez „życiowych” ludzi kłapy — na silną grupę „B complex 86” walił tłum, oglądał i bił brawo. Nie tylko w Ciechanowcu, ale w Siemiatyczach, Wysokiem Mazowieckiem, w Zambrowie. Szanowani dotąd jedynie medycy — jako kabareciarze zaczęli być popularni, do prasy się wypowiadali i w ogóle. W dodatku całkiem już poważnie. Kabaret albowiem utworzył pod płaszczykiem spraw zupełnie serio: Ciechanowiec ma tradycje, ma bogatą medycynę i kłopotliwy szpital, który trzeba rozbudować. Paroletnie starania grzeszyły na wojewódzkich sejmikach, aż do ostatniego sejmiku. Ostatecznie, w marcu 1983 roku, w Warszawie, na sejmiku województwa mazowieckiego, podjęto decyzję o rozbudowie szpitala. W tym celu powołano komisję, która ma zbadać możliwości finansowe i techniczne. W tym celu powołano komisję, która ma zbadać możliwości finansowe i techniczne.

ryli społeczny komitet obchodów. Zamiar był jasny i czytelny: grać sprawę rozbudowy, dopóki do końca nie ostygła. I wtedy, obok pomysłu sesji naukowych, wmurowania tablicy pamiątkowej, nadania imienia, ordynator Kapliński wyszedł z kabaretem: niech ludzie nas poznają. W tym czasie Społeczny Komitet Rozbudowy Szpitala szalał po wsiach i zakładach „za składkami”. Kapliński natomiast, zagoniony jak dorożkarski koń, między jednym a drugim wygłupem syczał dziennikarzom: „Do naszego szpitala ciąży w tej chwili 30 tysięcy mieszkańców okolicznych wsi. Gdyby były warunki, mógłby tu funkcjonować średniej wielkości Zespół Opieki Zdrowotnej. Ludzie przyzwyczaili się jeździć do lekarza do Ciechanowca; ufają nam, a my staramy się przedłużyć dobre tradycje placówki, choć przychodzi nam to z coraz większym trudem, bo warunki lokalowe są optakane”.

A potem znów prowadził silną grupę. Na szczęście znaleźli się ludzie, którzy w porę wyczuli, o co się rozchodzi w takiej oto choćby rymowance: „Były dwa kotki: jeden

że niebawem coś się zwolni. Żeby się zwolniło, ktoś musi umrzeć, bo Dom Rencistów w Kozarzach z 18 miejscami jest jedynym Domem Opieki Społecznej dla dorosłych w województwie! Aż przyszedł zderzenie terminowy. Uparł się: będę spał na ganku. Na ganku łóżka postawić się nie da. Będę spał na podłodze. Musiałem, mówi Hałka, wezwać milicję. Rozumie pan, co to znaczy? Od tego czasu zaczęła go gryźć rozbudowa. Dyrektor Deptuła z Wydziału Zdrowia UW: jeśli znajdzie pan wykonawców, to proszę bardzo. Hałka do brata architekta. Brat mówi: dokumentację będziesz miał w tym roku. Hałka do rzemieślników. Jeden, drugi, trzeci rzemieślnik: chyba bym się za to wziął. Dyrektor Departamentu Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej: wchodźcie w plan, o pieniądze się nie martwcie. Wydział Zdrowia: pan napuszcza redaktorów! ZOZ w Wysokiem Mazowieckiem: ja mu dam rozbudowę!

Kozarze nie weszły w plan. Hałka mówi: wcześniej byłem pracownikiem socjalnym, siedziałem w ludzkiej biedzie. Chce zaprosić dy-

KABARET

WŁADYSŁAW
TOCKI



ładny, lecz z szafy wyjadał łakotki. Drugi brzydki, buri, ale łowił szczury”. W każdym razie kabareciarzom nie jest już do śmiechu-chichu.

O starych świństwach w mym kraiku donoszę, panie naczelniku

Satyra to rzecz na domysł. Kabaret to nie dosłowność. Dosłowność to szambo. O, szambo przy Domu Rencistów w Kozarzach, mówi kierownik Hałka, to dopiero kabaret!

Szambo wywozi się co tydzień. Przez rok wywózka kosztuje więcej niż budowa nowego. O budowie, dowiedział się, nie ma jednak co myśleć. Jeśli nie można budować, dedukował, trzeba oczyścić stare. Wystarczyłoby wówczas opróżnić je raz w miesiącu. Znalazł się gość do robotki za 40 tysięcy. „Czterdzieści tysięcy! Kto to widział — usłyszał — żeby człowiek tyle zarobił na gównie”. Więc nie zarobił, kontrole sanitarne piszą wnioski, on wyjaśnienia, szambo co tydzień się napelnia i wcale nie jest śmieszne.

Inne ujęcie w blasku szarego dnia: od marca 1983 roku, kiedy został kierownikiem, zjawili się w jego Domu z dziesięciu starych, schorowanych, samotnych ludzi. Każdy z nich mówił: zostają, nie wyjadą. W tym celu trzeba pocieszać. Mo-

rektora Departamentu, przekonać na miejscu. I mnie zaczyna kaptować, zagrywać na uczuciach: pokazać panu nasze warunki; popatrz pan, jaki mam plac. O, i tuśmy się zlapali! Bo ja się pytam, jaki Hałka Józef ma w tym interes? Co na tym zyska? Kto za tym stoi? I wcześniej ten kabaret: społecznie, spontanicznie, bo można zrobić coś więcej niż od — do w zakresie obowiązków. Jest obowiązek robić więcej! Tak wyjaśnia. Dlatego ostrzegam: „Proszę się przyjrzeć — świętą rzeźbę udają, lecz się, bratku, strzeż!”

O monologach romantyków donoszę, panie naczelniku

Tu, w tym miasteczku, mówi, widziałem swoje posłannictwo. Tu się urodziłem, tu żyję, to moja ziemia. więc moim moralnym obowiązkiem... I tak dalej. Uwaga! Słowa te, w idei zbliżone do zeznania Sierockiego, wypowiedział Bondarenko Jan, doktor weterynarii, kierownik lecznicy. Na pytanie: pan też kabareciarz, wykretnie zasłonił się brakiem artystycznych talentów. Na szczęście, nim wszedł, zdążyłem złożyć swoje zapiski na mankietach. W roku Jubileuszu 40-lecia Polski Ludowej pragnę służyć wyrazem najwyższego wyrażenia i szacunku za działalność w dziedzinie kultury. Podpis: minister kultury i sztuki. „Ja

zdobycie II miejsca w III Ogólnopolskim Konkursie „Najlepszy lekarz szkolenia rolniczego”. Podpisał minister rolnictwa. „Z okazji uroczystości otwarcia nowej Specjalistycznej Lecznicy dla Zwierząt — na ręce kierownika, doktora Jana Bondarenki — głównego organizatora społecznego czynu jej budowy”. Podpisał wojewoda. I tu się rodzi pytanie: kim jest formalnie dr Bondarenko? Lekarzem weterynarii. Jaką pełni funkcję? Kierownika lecznicy. Czym więc powinien się zajmować? Leczeniem zwierząt. Niech nikogo nie myli, że zajmował także pierwsze miejsca we współzawodnictwie pracy Państwowych Zakładów Leczenia Zwierząt. Bo rozchodzi się mianowicie o to, że lekarz weterynarii jest od wzdęć i lewatyw. I tak dalej. Inaczej to czysty kabaret. Pozwólmy robić wszystkim, co chcą, a lewatywę zacząć zajmować się pianistą!

Właśnie po odrzuceniu powyższego toku myślenia wypowiedział wyżej wzmiankowane archaizmy: posłannictwo, moralny obowiązek. A potem motto życiowe patrona Kluka: „Rad bym ten kraj we wszystkim widzieć najszczęśliwszy, z powodu tej wdzięczności, iż w nim zawiadując częścią roli, z niej zrywam chleba.”

Ta obrączka, wyciągnął rękę, to dla mnie coś najdroższego. Oddałbym ją w tej chwili, gdybym wiedział, że dobrze zostanie spożytkowana dla dobra kraju. Wielu postąpiłoby tak samo. Gdy jestem za granicą, mam poczucie winy: nie jesteśmy głupszy, nie jesteśmy mniej pracowici. Więc dlaczego? Może my, inteligencja takich miasteczek, za mało z siebie dajemy.

Tu zaczął wymyślać: jest już na zalewie; już można by wykorzystać na elektrownię i byłaby najtańsza własna energia. A potem jeszcze o kulturze, wychowaniu, integracji społecznej, szacunku dla ludzi.

Spytałem: co pan z tego ma? Odpowiedział: jestem zadowolony z życia. Podkreślam, nie przesyszałem się: zadowolony! W dzisiejszych czasach! Dlatego uważam, że słusznie wciągnąłem go na listę kabareciarzy, choć w spisie silnej grupy „B complex 86” nie figuruje.

Pod klucz i po krzyku — radziłbym, panie naczelniku

Tak mówi życie: rób, co do ciebie należy, nie wystawiaj głowy nad innych. A jeśli już, proszę bardzo, pac, i szereg równy. I o to się rozchodzi. Tyle że bez przesady. Tak Kapliński traktował niektóre Ważne Osoby jak każdego innego. Czy właśnie w ten sposób zrealizujemy zasadę równości? Trzeba przecież odróżnić głowę wystawioną w uzgodnieniu od wystawianej samopas. Kapliński nie odróżniał, więcej: sam wystawiał. W krótkim czasie zarobił sobie wprawdzie na opinie świetnego organizatora, a jako przewodniczący społecznego komitetu obchodów i szef kabaretu — stał się znany nie tylko nad Nurcem, ale to przecież właśnie naruszało ustalone ramy. Na szczęście Ważne Osoby wykazały czujność; w dodatku tuż przed finałem obchodów, i to na tyle skuteczną, że zamiast gratulacji — byłby sobie posłuchał marsza żałobnego Chopina. W pozycji horyzontalnej. W każdym razie uzgodniona hierarchia w tak ważnym momencie została zachowana: Kapliński nie był w stanie pojawić się na uroczystości, a jej uczestników obiegło słowo „siedzi”. W tym miejscu pragnę załączyć przykładowy instruktaż metody pacnięcia, wypróbowany na ordynatorze: trzeba znaleźć donosik lub skargę, nadać głuchy telefon, odbite informacje uznać za fakty i rozpocząć dochodzenie; spokojnie, żmudnie, metodyczne, aż gość nie tylko wciągnie głowę, wyrówna krok, ale zajmie się wreszcie wyłącznie samym sobą — swoim sercem, wątroba lub, wrzodzie. Wówczas zapanuje spokój i ład oraz tak niezbędne nam poczucie bezpieczeństwa w zakreślonych ramach.

Świątynię pochłonę z wiarą Konstanty I. Galczyński „Pierwszy dzień”.

interpretacje





Ekspedientka ze sklepu konfekcyjnego WPHW przy ul. Buczka tak dalece nie chciała pozbyć się kurtki króliczej firmy „Mondex”, że po wyczerpaniu wszystkich argumentów zniechęcających klientkę do zakupu — posunęła się do sposobu ostatecznego: obśmiania jej figury i tuszy. Sklep komisowy w Łomży natomiast nie przyjmuje do sprzedaży nart i butów narciarskich, pomimo iż na tzw. stanie nie posiada ani jednej pary. Dla niektórych lepszy byłby jednak duży szpadelek niż mały handelek.

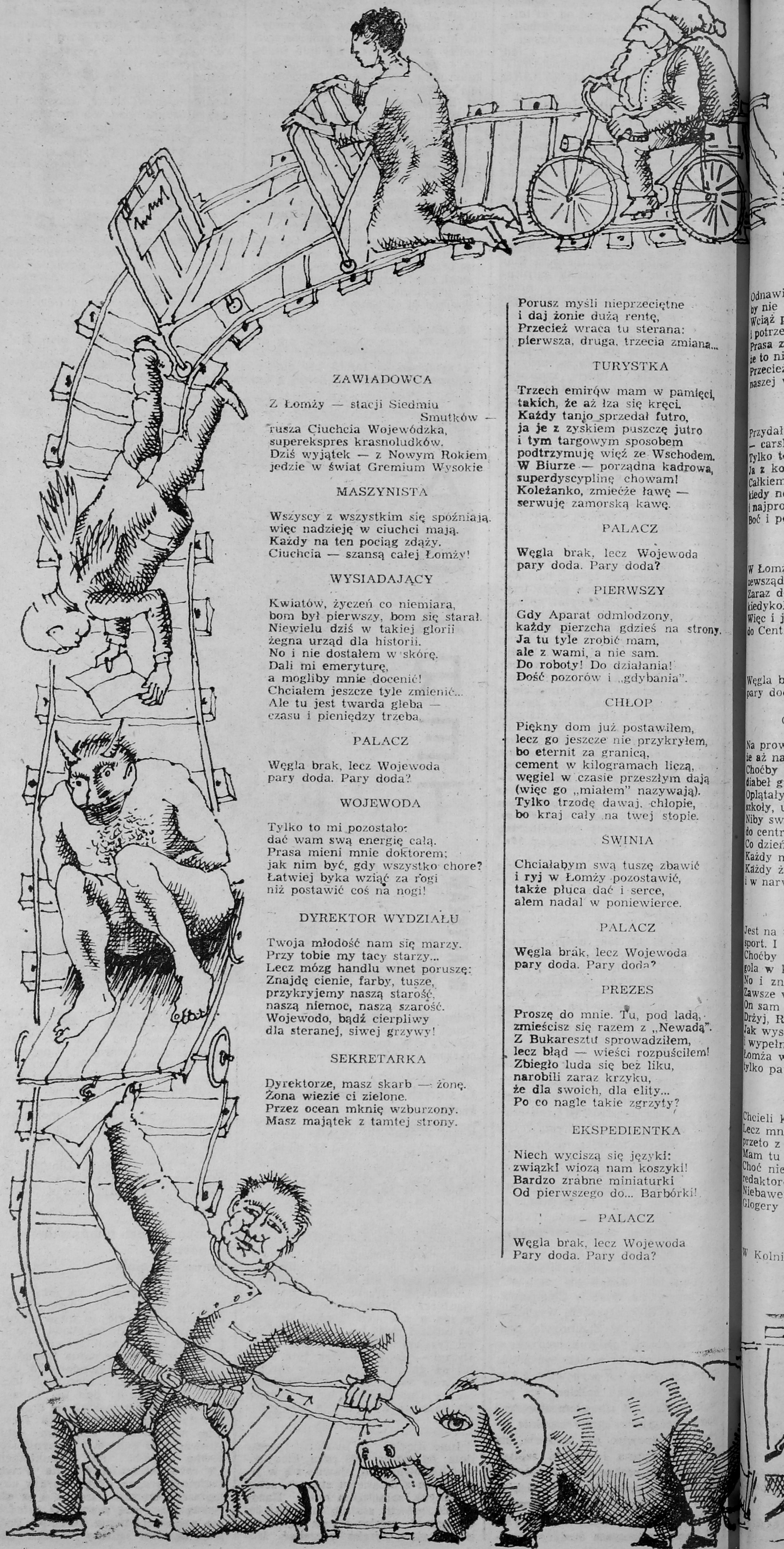
Na zebraniu otwartym POP PZPR w Lemanie rolnicy zapytali przedstawiciela władz gminnych, dlaczego mleko przynoszone do zlewni dzieli się na klasy (słusznie), skoro do cystern wlewa się je razem (nie-słusznie). W odpowiedzi usłyszeli: „Rolnika nie powinno obchodzić, co się robi z mlekiem; mogą je wylać nawet do rowu. Rolnik ma produkować i dostarczać mleko dobrej jakości”. Szare komórki z założenia też służą do myślenia.

Dużym zasobem fachowców poszczycić się może Administracja Domów Mieszkaniowych w Łomży: do wystawienia wybitej szybki o wymiarach 30x12 centymetrów wystąpiła aż dwóch speców. Gdy pomiary trwały tak długo, że nie wytrzymał jeden z lokatorów i zwrócił im uwagę, fachowcy zdenerwowali się i poszli — nie ukończywszy roboty. Ot, samoleźni!

W Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego w Grajewie bez śladu zaginął nowy samochód marki Gaz 53 A (wartość w 1981 roku — 460 tysięcy złotych), skazowano Jelcza 315 o przebiegu 11,5 tysiąca kilometrów i cztery inne pojazdy, z których rzekomo wymontowano silniki i podzespoły, ale nie ma po nich śladu w żadnym magazynie, ponadto nadwozie Fiata 125p oraz dwie przyczepy kempingowe. Po kontroli dyrektor wpadł w panikę i podał się do dymisji, ale gdy stwierdził, iż nikt nie ma zamiaru pociągnąć go do odpowiedzialności, uznał decyzję za pochopną i przystąpił do konkursu na stanowisko dyrektora. Przepadł. Czyżby razem z artykułem 217 kk. (o marnotrawstwie), panie prokuratorze?

W odległości 140 metrów od kotłowni Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Narew” zlokalizowano kotłownię mlejską. Do pierwszej biegnie nitka torów kolejowych, więc węgiel trafia tu prosto z wagnów, do drugiej dowożony jest ze stacji PKP (około 6 kilometrów) samochodami. Do kosztów „przesiadkowego” transportu dochodzą koszty przeładunku. Licząc nawet pi razy drzwi — z łatwością można dowiedzieć, iż roczna ich suma parokrotnie przekracza jednorazowy nakład na 140-metrowe torowisko. Umiejętność liczenia nie wyklucza jednak analfabetyzmu. Spółecznego.

Nagrodę 500 złotych za sygnał tygodnia „To się nadaje do „Spiećcia” otrzymuje autor informacji o kotłowniach.



ZAWIADOWCA

Z Łomży — stacji Siedmiu Smutków — rusza Ciuchcia Wojewódzka, superekspres krasnoludków. Dziś wyjątek — z Nowym Rokiem jedzie w świat Gremium Wysokie

MASZYNISTA

Wszyscy z wszystkim się spóźniają, więc nadzieję w ciuchci mają. Każdy na ten pociąg zdąży. Ciuchcia — szansą całej Łomży!

WYSIADAJĄCY

Kwiatów, życzeń co niemiara, bom był pierwszy, bom się starał. Niewielu dziś w takiej glorii żegna urząd dla historii. No i nie dostałem w skórę. Dali mi emeryturę, a mogliby mnie docenić! Chciałem jeszcze tyle zmienić... Ale tu jest twarda gleba — czasu i pieniędzy trzeba.

PALACZ

Węgla brak, lecz Wojewoda pary doda. Pary doda?

WOJEWODA

Tylko to mi pozostało: dać wam swą energię całą. Prasa mieni mnie doktorem; jak nim być, gdy wszystko chore? Łatwiej byka wziąć za rogi niż postawić coś na nogi!

DYREKTOR WYDZIAŁU

Twoja młodość nam się marzy. Przy tobie my tacy starzy... Lecz mózg handlu wnet poruszę: Znajdę cienie, farby, tusze, przykryjemy naszą starość, naszą niemoc, naszą szarość. Wojewodo, bądź cierpliwy dla steranej, siwej grzywy!

SEKRETARKA

Dyrektorze, masz skarb — żonę. Żona wiezie ci zielone. Przez ocean mknij wzburzony. Masz majątek z tamtej strony.

Porusz myśli nieprzeciętne i daj żonie dużą rentę. Przecież wraca tu sterana: pierwsza, druga, trzecia zmiana...

TURYSTKA

Trzech emirów mam w pamięci, takich, że aż iza się kręci. Każdy tanjo sprzedal futro, ja je z zyskiem puszcze jutro i tym targowym sposobem podtrzymuję wiec ze Wschodem. W Biurze — porządna kadrowa, superdyscyplinę chowam! Koleżanko, zmieć ławę — serwuję zamorską kawę.

PALACZ

Węgla brak, lecz Wojewoda pary doda. Pary doda?

PIERWSZY

Gdy Aparat odmłodzony, każdy pierzeha gdzieś na strony. Ja tu tyle zrobię mam, ale z wami, a nie sam. Do roboty! Do działania! Dość pozorów i „gdybania”.

CHŁOP

Piękny dom już postawiłem, lecz go jeszcze nie przykryłem, bo eternit za granicą, cement w kilogramach liczą, węgiel w czasie przeszłym dają (więc go „miałem” nazywają). Tylko trzodę dawaj, chłopie, bo kraj cały na twojej stopie.

SWINIA

Chciałabym swą tuszę zbawić i ryj w Łomży pozostawić, także płuca dać i serce, alem nadal w poniewierce.

PALACZ

Węgla brak, lecz Wojewoda pary doda. Pary doda?

PREZES

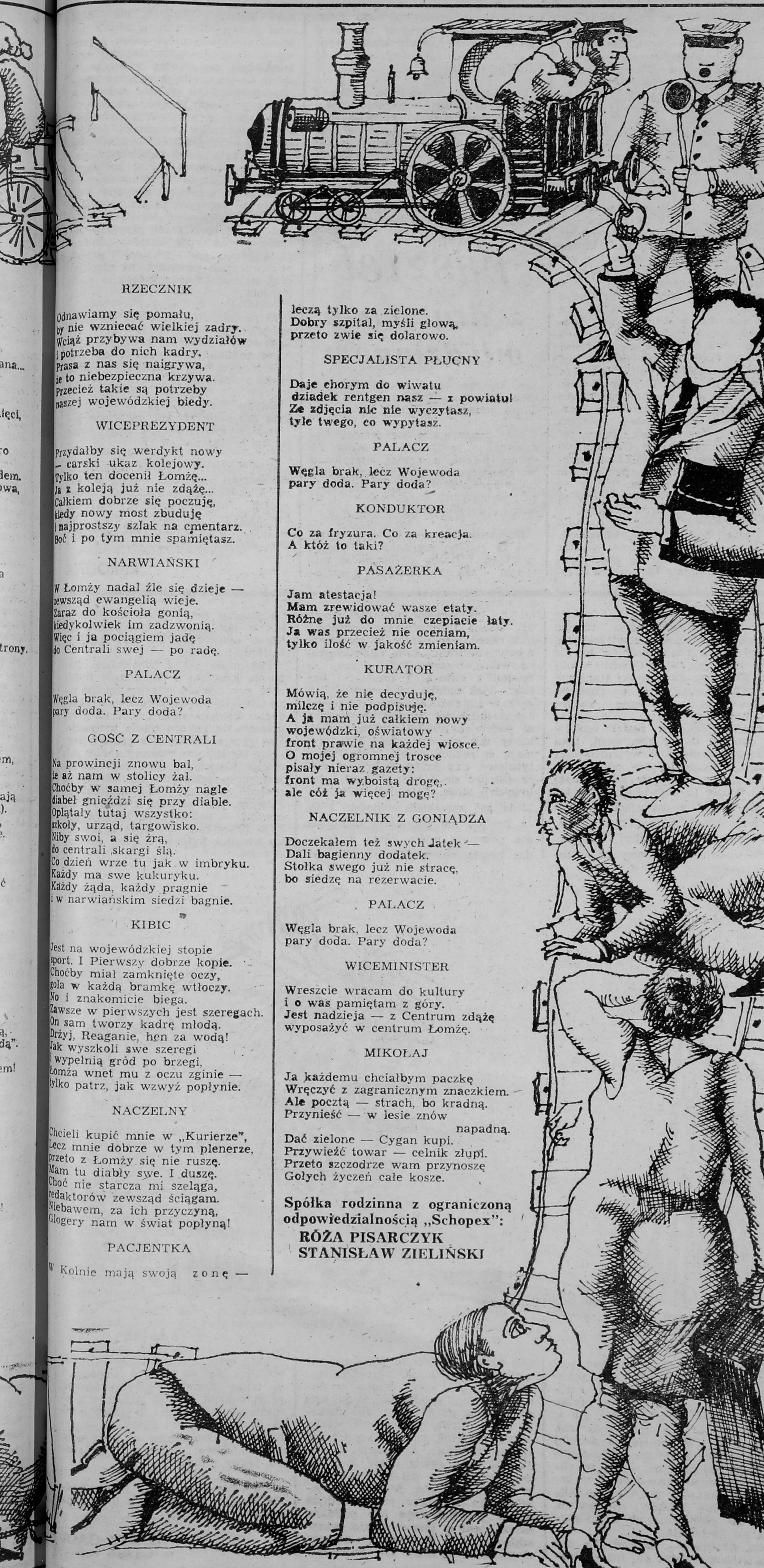
Proszę do mnie. Tu, pod ładą, zmieścisz się razem z „Newadą”. Z Bukaresztu sprowadziłem, lecz błąd — wieści rozpuściłem! Zbiegło luda się bez liku, narobili zaraz krzyku, że dla swoich, dla elity... Po co nagle takie zgrzyty?

EKSPEDIENTKA

Niech wyciszą się języki: związki wiozą nam koszyki! Bardzo zrabne miniaturki Od pierwszego do... Barbórki!

PALACZ

Węgla brak, lecz Wojewoda pary doda. Pary doda?



RZECZNIK

Odnawiamy się pomału,
by nie wznieść wielkiej zadry.
Wciąż przybywa nam wydziałów
i potrzeba do nich kadry.
Prasa z nas się naigrywa,
że to niebezpieczna krzywa.
Przecież takie są potrzeby
naszej wojewódzkiej biedy.

WICEPREZYDENT

Przydałby się werdykt nowy
— carski ukaz kolejowy.
Tylko ten docenił Łomżę...
Ja z koleją już nie zdążę...
Całkiem dobrze się poczuje,
kiedy nowy most zbuduje
najprostszy szlak na cmentarz.
Boć i po tym mnie spamiętasz.

NARWIAŃSKI

W Łomży nadal źle się dzieje —
zawsza ewangelią wieje.
Tęż do kościoła gonia,
kiedykolwiek im zadzwonią.
Więc i ja pociągiem jadę
do Centrali swej — po radę.

PALACZ

Węgla brak, lecz Wojewoda
pary doda. Pary doda?

GOŚC Z CENTRALI

Na prowincji znowu bal,
że aż nam w stolicy żal.
Choćby w samej Łomży nagle
diabeł gnieździ się przy diable.
Opłatały tutaj wszystko:
szkoły, urząd, targowisko.
Niby swoi, a się żrą,
do centrali skargi ślą.
Co dzień wrze tu jak w imbryku.
Każdy ma swe kukuryku.
Każdy żąda, każdy pragnie
i w narwiańskim siedzi bagnie.

KIBIC

Jest na wojewódzkiej stopie
sport. I Pierwszy dobrze kopie.
Choćby miał zamknięte oczy,
gola w każdą bramkę wloczy.
No i znakomicie biega.
Zawsze w pierwszych jest szeregach.
On sam tworzy kadrę młodą.
Drżyj, Reaganie, hen za wodą!
Jak wyszkoli swe szeregi
i wypelnią gród po brzegi,
Łomża wnet mu z oczu zginie —
tylko patrz, jak wzwyż popłynie.

NACZELNY

Chcieli kupić mnie w „Kurierze”,
Lecz mnie dobrze w tym plenerze,
przeto z Łomży się nie ruszę.
Mam tu diabły sye. I duszę.
Choć nie starcza mi szeląga,
redaktorów zewsząd ściagam.
Niebawem, za ich przyczyną,
Glogery nam w świat popłyną!

PACJENTKA

W Kolnie mają swoją zonę —

leczą tylko za zielone.
Dobry szpital, myśli głową,
przeto zwie się dolarowo.

SPECJALISTA PŁUCNY

Daje chorym do wiwatu
dziadek rentgen nasz — z powiatu!
Ze zdjęcia nic nie wyczytasz,
tylko twego, co wypytasz.

PALACZ

Węgla brak, lecz Wojewoda
pary doda. Pary doda?

KONDUKTOR

Co za fryzura. Co za kreacja.
A któż to taki?

PASAZERKA

Jam atestacja!
Mam zrewidować wasze etaty.
Różne już do mnie czeplacie lata.
Ja was przecież nie oceniam,
tylko ilość w jakość zmieniam.

KURATOR

Mówią, że nie decyduje,
milczę i nie podpisuję.
A ja mam już całkiem nowy
wojewódzki, oświatowy
front prawie na każdej wiosce.
O mojej ogromnej trosce
pisały nieraz gazety:
front ma wyboistą drogę,
ale cóż ja więcej mogę?

NACZELNIK Z GONIĄDZA

Doczekałem też swych latek —
Dali bagieny dodatek.
Stolka swego już nie stracę,
bo siedzę na rezerwacie.

PALACZ

Węgla brak, lecz Wojewoda
pary doda. Pary doda?

WICEMINISTER

Wreszcie wracam do kultury
i o was pamiętam z góry.
Jest nadzieja — z Centrum zdążę
wyposażyć w centrum Łomżę.

MIKOŁAJ

Ja każdemu chciałbym paczkę
Wręczyć z zagranicznym znaczkiem.
Ale pocztą — strach, bo kradną.
Przynieść — w lesie znów

napadną.

Dać zielone — Cygan kupi.
Przywieźć towar — celnik złupi.
Przeto szczerze wam przynoszę
Gółych życzeń całe kosze.

Spółka rodzinna z ograniczoną
odpowiedzialnością „SchopeX”:

RÓŻA PISARCZYK
STANISŁAW ZIELIŃSKI

spiecia



13

KONTAKTY

1986-12-21

1986-12-28

„Bierze jak Żyd w torbę” —
to szyfr oczywisty: kol. Stanisław
Zieliński. Z tym, że bierze obo-
wiązki. Do wykonania od zaraz!
Myli mu się więc czasem notatnik
999 z 99, dzięki czemu otrzymuje
najwięcej korespondencji: „wszystko
się zgadza, tyle że Czarna to nie
moja żona, lecz krowa. Żona ma na
imię Kordula, a nie — jak pan
napisał — mój pies. To właśnie on
nazywa się Dog, a nie ja”. Przy-
kład, jak sen o potędze, może koń-
czyć się zwykłą polucją.

Wśród rozlicznych słabości kol.
Władysława Tockiego dominuje pas-
kudne gadulstwo, na którym cierpi
redakcja hołdująca zasadzie: co masz
opowiedzieć — napisz. Na drugim
miejscu trzeba wymienić — nie u-
zasadnione rodowodem — kozactwo.
Wylczenie wszystkich słabości tego
(nie wiadomo czyjego) trybuna prze-
kroczyłoby rozmiar rubryki, przeto
poprzestajmy na ostrzeżeniu: two-
ja sława, kolego, nie jest echem
skromności!

„Piszę arcydzieła, ale może się
zdarzyć dzień, w którym mi nie
wyjdzie” — głęboko samokrytycznie
przywalił sobie kol. Henryk Gała.
Prosimy znaną nie rozgłaszać te-
go publicznie, ponieważ zawsze znaj-
dzie się jakiś niewierny Tomasz,
który będzie chciał dotknąć. Oczy-
wiście, nie dbamy o nasze skóry,
lecz o arcydzieła!

Dzięki nim Łomża błyskawicznie
przybliżyła się do świata: kol. kol.
Danuta i Aleksander Wroniszew-
scy, pierwsi rodzimi twórcy seriali,
tak modnych od Moskwy po Wa-
szyngton, przy czym zdolali im
nadać nowatorski w Polsce rys:
kiedy już wszystko zdaje się jasne,
dopiero wszystko się zaczyna — i
wtedy nie wiadomo już nic. Zawist-
nicy i redakcyjna konserwa poszu-
kują ponoć krokodyla, który miałby
czasem odwagę coś przyciąć.

Niekiedy schodzi (no, któż, jak nie
szef, Stanisław Zagórski) ze szczy-
tów nieomyślności i wysłuchuje gło-
su ludu, pracującego w redakcji.
Te bezprzykładne przejawy de-
mokratyzacji rodzą rozluź-
nienie i złośliwców, którzy twier-
dzą, że niedostąży na jedno ucho,
tyle że nigdy nie wiadomo, na któ-
re.

Gasną światła w miasteczkach,
gdy z dali dobiegnie tętent kro-
ków rewolwerowca (kol.) Marii Ka-
czyńskiej. W dzień biurwy chowają
się w szufladach.

Na chwile spuszczenia z tonu
przypominamy: „Kto mieczem wo-
juje — temu miecz nie rdzewie-
je!”

Zastępca szefa (kol.) Stefania Hen-
czelowa, czyli ostatnie wcielenie
Stephanii Harper na ziemi polskiej,
z maniakalną wściekłością wzięła się
za gniota. Stąd piana na u-
stach licznych aligatorów, którym,
oczywiście, nie chodzi o siebie; co
zresztą widać z oficjalnych zarzu-
tów: tnie nasze (tj. najgenial-
niejsze) teksty, czyli jest anty! Nie-
zwykła pewność siebie wynika z
poczucia wsparcia przez szefka Ko-
tarbińskiego, który wręczył jej pro-
tekcję i potęgę intelektualną ar-
matę: „Filozofia przystosowana do
chwili jest chwilozofia”. Nasz saper
jednak ostrzeża: zdarzają się nie-
wybuchy!



Niemrawość dyskusi na sesji WRN-u poświęconej kulturze — po ożywionym zainteresowaniu, które ją poprzedziło — świadczyć może, że nie tyle temat rozpałał wyobraźnię radnych, co pogłoski o uczestnictwie w niej znamienitych gości: prof. Kazimierza Secomskiego i wiceministra kultury sztuki (byłego wicewojewody łomżyńskiego) Kazimierza Czapki. Głos zabrano bowiem zaledwie dwóch niezawodnych dyskutantów: Kazimierz Uszyński oraz wiceprezes WZSM — Wiesław Tyska.

W kuluarach rozmawiano z większym ożywieniem, również o łomżyńskiej kulturze, a raczej jej brakach i aktualnych wstydlivych tego dowodach. Spektakl „Moralność pani Dulskiej”, z którym jeden z warszawskich teatrów przyjechał do łomżyńskiej młodzieży, został przerwany po tym, jak ktoś z widowni strzelił z gumy miedzianym drucikiem do aktorki, trafiając niemal w oko. Sceniczna komedia omal nie zakończyła się życiową tragedią. Nauczyciele nie wiedzieli, jak przeproszać, a tym bardziej, jak znaleźć winowajcę. Wiadomo było, że autor chuligańskiego wybuchu przyszedł na spektakl z własnej — przynajmniej teoretycznie — woli, płacąc za bilet 300 zł z rodzicielskiej kieszeni, i że pretenduje do uzyskania co najmniej średniego wykształcenia. Przyszły inteligent, odbiorca kultury.

Nie przebrzmiały też komentarze dotyczące większej i zupełnie „dorosłej” kompromitacji, o której — wydaje mi się — nigdy publicznie

nie wspomniano. Ja zwlekłam z pisaniem czekając na pouczający finał sprawy. I doczekałam się... informacji z najbardziej wiarygodnego źródła: żadne konsekwencje nie zostały wyciągnięte, nie dlatego, by nie było winnych, lecz zabrakło odpowiedzialnych.

Gdyby historia nie była tak poważna, byłaby bardzo śmieszna. Jest w Łomży parę osób, które porównują się na „niemożliwości”, chcą rozwijać łomżyńską kulturę, a także gościć na tej ziemi różne znakomitości. Należy do tego grona poeta Jan Kulka. W 1981 roku dokonał niemal cudu, organizując przyjaźń noblisty Czesława Miłosza w otoczeniu plejady sław literackich, które spotkały się ze sobą prywatnie i oficjalnie na sesji „Być poetą”. Po paru latach kulturalnego bojkotu Polski, „w rewanżu” za wprowadzenie w kraju stanu wojennego, spora grupa zagranicznych poetów — o liczących się w świecie nazwiskach — miała uświetnić Warszawską Jesień Kulturalną. Jan Kulka znów „wydarł” z programu niemal dwa dni dla Łomży. Prezes Gąsiorowski z warszawskiego oddziału Związku Literatów Polskich się zgodził, łomżyńskie władze też kiwnęły głową. Prezes Gąsiorowski omówił z wicewojewodą Mioduszeckim program pobytu poetów w Łomży i w Ciechanowcu. Różnie się teraz mówi o ustaleniach, fakty są natomiast mniej kontrowersyjne.

Mityng poetycki w Łomży udał się bardzo dobrze: miał odpowiednią temperaturę i oprawę; władze miejskie ciepło przyjęły gości, goście ciepło zegnali łomżan. W Cie-

chanowcu natomiast powiato chłodem. Autokar zatrzymał się przed patacem. Portier, może stróż, popatrzył zdziwiony: „Wycieczka? To do „Złotego Kłosa”.

W „Kłosie”, w którym dawno minął czas czystych obrusów i dobrej kuchni, czekała kolacja: herbata zwana — ze względu na oryginalny, polski, lecz niezbyt wyrafinowany sposób zaparzania — „plujką” bądź „farfocłową” oraz chlebek z serem czy równie wykwintnym pasztetem. Nic dziwnego, że niektórzy woleli pokrzepić się wspomnieniem indyka w mala-

paszтет z drucikiem miedzianym

dze, którego konsumowali poprzedniego wieczora podczas kolacji wydanej przez prezydenta Warszawy.

Noc zapowiadała się jeszcze koszmarniej: temperatura spadła do minus pięciu, a nocleg oferowano w nieogrzewanych domkach campingowych. Poeci zgodnie więc opuścili „niegościnnie” Ciechanowiec i udali się do Warszawy.

Oczywiście, można by — w związku z zmianą warunków atmosferycznych i liczby uczestników mityngu — zakwaterować ich o opala-

nych domkach muzeum, ale ktoś miał podjąć taką decyzję, skoro gościom nie towarzyszył żaden przedstawiciel władz kulturalnych województwa, czy choćby władz miejskich Ciechanowca, a dyrektor muzeum układał się do snu zadowolony, że program pobytu zagranicznych gości w jego placówce udało się dopiąć idealnie: zespół folklorystyczny „Podlaskie Kukułki” dojedzie, kawa „zdobyta”, ciasto upieczone... Sobotni rano zaskoczył dyrektora Uszyńskiego nowina o raptownym wyjeździe poetów. Najpierw się zmartwił, potem pomyślał, jak zminimalizować wydatki: telefonicznie powstrzymał przyjazd zespołu, poczęstunek ciastem własnego wypieku zaproponował grupie prokuratorów poznańskich, zdążających na spotkanie z kolegami siedleckimi.

W poniedziałek dyrektor Uszyński pojechał w „sprawie” do wicewojewody Mioduszeckiego. „W czym problem?” — zdziwił się wicewojewoda. — Przecież ciasto zjedli prokuratorzy...”

Gdyby organizacja w kulturze była tak świetna, jak przepływ informacji, mielibyśmy szansę stać się kulturalną potęgą.

Wiceminister Czapka wprowadzić nie widział przeszkód, byśmy w kulturze dorównali Katowicom i obiccywał: „Pomożemy wam, jeśli sobie najpierw pomożecie”, ale... Sęk w tym, kto w Łomży taką samopomoc kulturalną zorganizuje.

KAROLINA

LISTY ZZA RZEKI

znikająca gwiazdka

Zbitki słowne, pojęciowe, skrupy, klisze myślenia — wydają się skrywać tajemnice wzajemnego rozumienia się, a po głębszym zastanowieniu — także rozumienia samych siebie. Czyż nie tak jest z pierwszymi słowami „Bogurodzicy”, pierwszymi wersami „Pana Tadeusza”, „Mazurka Dąbrowskiego”? A „Nie rzucim ziemi...”, „Przybieżeli do Betlejem...”, „Wykłęty powstań ludu ziemi”? Czy całkiem zwykle: „Rzucili mielone bez kartek”, „Sami swoi”, „Aby Polska była Polską (względnie polską)”, „Druga Polska”, „Jak Polak z Polakiem” — nie pełnią tej roli przez czas jakiś lepiej od tamtych?

Zabawne, że kiedy trzeba wyrazić coś trudniejszego, o większym zapasie ogólności, to nawet politycy zwracają się do poezji, do słownych gestów. Jakby lepiej się żyło mając w głowie i gębie jakiś poręczny slogan. I naprawdę lepiej się żyje. I lepiej umiera. Choć to ostatnie łatwiejsze jest do dowiedzenia, owoć będzie zastanowić się nad znaczeniem sloganu dla życia. (Nawiasem pragnę zaznaczyć, że jest to pierwszy przyczynek do rozwinięcia w Polsce sloganistyki).

Nie tak dawno nastuchać się można było do woli o światelku widocznym w głębi tunelu. Jak to dzisiaj wygląda? Czy slogan ten można już całkiem odłożyć? Jeśli idzie o wizję, to rządowy poeta (albo „sloganista”, tak jak „organista”) nie był oryginalny (sam przed dwudziestu laty pisał wiersze o kryzysie i tunelu), ale działał w warunkach biblijnych, więc on będzie Home-rem. Jeśli zaś idzie o prawdziwość, weryfikowalność, czyli po prostu o realia, to optymizm sloganisty (w przeciwieństwie do pesymizmu poety) wygrywa — nastąpiła niewątpliwie ta zmiana, że w tunelu jakby pojaśniało i nie wydaje się on nam już taki ciemny. Tylko pytanie: skąd więcej światła? („Więcej światła” — to też slogan). Czy wyjście bliższe, czy pojaśniało nam w oczach? A może była to tylko chwilowa awaria oświecenia, albo tunel jest coraz bardziej przezroczysty i widać jakiegoś innego światła? (Tu aż prosi się o slogan o szklanych domach-tunelach).

Fak, to ściemnienie perspektywy małe charakter lokalny, choć — być

może — lokalnie silny był odbiór stanu naszego, globalnego tunelu. Trudno to zobaczyć we właściwych, prawdziwych rozmiarach, i to nie tylko stąd, z rzeki. Pojaśniało jednak. Najpierw dwa błyski tragiczne — „Challenger” i Czernobyla. I dramatyczne zbliżenie świata do italskiego buta. Ale nasz europejski skansen został spokojny, choć w takiej zbrojowni, jaką z niego uczyniono, o wypadek nie trudno, i wcześniej czy później (to także slogan, podobnie jak „włoski but”) będzie to bum. Pojaśniało też od Moskwy — zaskakująco wytrwale, konsekwentnie, rozległe tak, że dla niektórych zbyt daleko idące wołanie o atomowy pokój (in-

na idei. W księdze ludzkości ma to być strona tytułowa, bo podobno (jak określił to papież w rozmowie z pewnym francuskim, nawróconym na wiarę, pisarzem) jej zasady są zgodne z naturą. I ludzka, i boska — jak należy się domyślać. Tak wydaje się twórcom i iluminatorom księgi ludzkości. Pogląd ten powinien podzielać też jej czytelnicy. Cóż, kiedy tak nie jest. Inni też trzymają w rękach swoje karty, także tytułowe. Czy księga ludzkości może składać się z samych kart tytułowych? Może. I to jest tragiczne. Mnie zaś smutkiem napelnia i to, że Zachód nie dopuszcza myśli, że oto powstaje nowa karta w księdze świata, nazywająca się Wschód.

cie bardzo przypomina misjonarzy takich jak Cortez, Robespierre i... Niech mnie ręka boska z jakiego bądź nieba broni.

Pojaśniało też z Watykanu. Papieska krucjata o pojednanie ludzi, choć przez wielu interpretowana jako „święta międzynarodówka przeciwko komunizmowi”, jest nawoływaniem do pokoju mimo wszystko. Ten głos współbrzmii z coraz bardziej słyszalnym gwarem z różnych miejsc planety, i choć jego zasięg jest niespodziewanie nierozległy, a posłuch znajduje u małych głów, daje — wraz z wszystkimi innymi — nadzieję, że sprawa pokoju przestanie być traktowana jako kwestia jedynie między mocarstwami.



Podulka

nego pokoju nie może już być, pytanie tylko o to, w co i jak „przebrać” atomowe miecze, skoro znajdują się w rękach już nie tylko mocarstw czy nawet państw, ale w dyspozycji różnych grup ludzkich). I niepokojące ściemnienie z drugiej strony, z Waszyngtonu. Nieustępliwy brak odpowiedzi, upór w odmowie, którego meandrów i motywów nie tłumaczy jedynie kapitalistyczna chęć zysku, utrzymywania wpływów gospodarczych i militarnych na Zachodzie.

Ano właśnie — Zachód. To nie tylko strona świata, ale także stro-

Dla nich ta strona to jakiś zagryzmolony nieczytelny, „niepiśmienny” szpargał, który trzeba wyglądać na swój sposób (skoro już dziś nie można go wyrwać, co zdawało się możliwe jeszcze pół wieku temu), przyciąć, żeby nie szpecił, nie obniżał poziomu. Arogancja, a jaką Zachód głosi swoją misję, kaze mi przypuszczać, że oni ledwie wierzają w nasze istnienie. A jeśli, to ja- wlnyż ha się jako pensjonariusze czasu przejściowego lub poddań, ucieszeni w imperium zła (wszystkie terminy z zachodów nowego słownika sloganów). Ich wapien-

Czyż więc nie mam prawa, rozglądając się po naszym wspólnym (a także moim osobistym) tunelu, przypuszczać, że jeśli gdzieś w kosmosie są jakieś oczy i jakieś war- gi, to nie chcą, aby pierwsze — patrząc w naszą stronę — podsunęły drugim słowa: „Dziwna ta gwiazdka, jakby zniknęła”.

Do siego roku! Oraz tego, abysmy mogli i w przyszłym użyć tego sloganu.

HENRYK GALA
w. Andrzej Puchacz

refleksje



przystąpił do współpracy z obcym wywiadem na skutek szantażu — ze strony pracowników wywiadu USA [...] a nie chciał zrezygnować z kariery sportowca. Wierzył zapewnieniom o odkładaniu dolarów w centrali wywiadu USA. Drobne kwoty rzędu 100—300 dolarów wręczane mu podczas spotkań traktował jako honoraria przeznaczone na osobiste wydatki, był lojalny wobec swych mocodawców i przekazywał im prawdziwe wiadomości, a oni zapewniali go, iż działalność jego utrzymana jest w szczególnej tajemnicy, gwarantując mu całkowite bezpieczeństwo”.

Z oświadczenia złożonego w WSW: „[...] aspekt fiaska był moim koszmarem. Poza tym nie chciałem dać Amerykanom do ręki atutu propagandowego, a w kamuflaż w tej sytuacji nie wierzyłem. Zbyt znana postacią byłem w świecie i to oni by wykorzystali, w kraju uchodziłbym za podłego zdrajcę — do którego miana nie tylko nie mogę się przyczepić, ale nie jestem w całym tego słowa znaczeniu i przekonany. [...] Niewątpliwie wyrządziłem swoją działalnością wiele szkody — w zamian nie osiągnąłem nic, nawet czysty wynik sportowy naraziłem na szwank”.

— Finał mojej sprawy — mówi Pawłowski — był inny niż być powinien. Sfuszerowany. Uważam, że w żadnym razie nie wolno było dopuścić do aresztowania mnie i ujawnienia mojej działalności.

— Jak zatem, pana zdaniem, powinna zakończyć się sprawa Jerzego Pawłowskiego?

— Jak między dżentelmenami: ja ujawniam, co mam do ujawnienia, deklaruje zaprzestanie swojej działalności, i rzecz zostaje w kilku gabinetach.

— A dlaczego właśnie tak?

— Ze względów społeczno-politycznych. W końcu chodziło o Jerzego Pawłowskiego, a przecież moje nazwisko znaczyło wiele w świecie i niepotrzebny był ten szum u nas i na Zachodzie. Zresztą wszystko wskazuje na to, że miało być tak, jak mówię: sprawa załatwiona w

kilku gabinetach. Ponieważ stało się inaczej i dopiero potem przekonano się, jaki błąd popełniono traktując mnie jak przeciętnego człowieka z ulicy, zakończyło się kilka obiecujących karier w MSW.

Z całą pewnością z Jerzym Pawłowskim można się zgodzić w jednym: po jego zatrzymaniu „szum” w środkach przekazu na Zachodzie był rzeczywiście spory. Dzisiaj, z perspektywy czasu, a także po ujawnieniu wszystkich kulisów działalności byłego mistrza szabli, łatwo można spostrzec, ile wówczas bzdur napisano.

„Dziennik Polski”, nr 255. Londyn 1975: „Sprawa aresztowania w maju br. czołowego szablisty polskiego,



WIELKI

Jerzego Pawłowskiego, pozostaje wciąż niewyjaśniona. Wiąże się ona z licznymi aresztowaniami i rewizjami przeprowadzonymi następnie w środowisku artystycznym, sportowym i wojskowym. Mówi się o uwięzieniu ok. 60 osób i o przestępstwach, które objęły sto kilkadziesiąt osób. [...] Prasa reżymowa zachowuje w tej sprawie ścisłe mil-

czenie. Poza krótkim komunikatem nie ukazały się żadne informacje. Zorganizowano za to kampanię dezinformacyjną, mającą na celu oczernienie popularnego szermierza i skompromitowanie go w oczach społeczeństwa. Zamieszczono jadowite karykatury Pawłowskiego w pismach, a drogą szeptaną «ujawnia» się szczegóły o jego rzekomo milionowym majątku, hulaszczym trybie życia, luksusowych willach, kilku kolejnych żonach itp. [...] Tajemnica otaczająca los Pawłowskiego jest tym bardziej niepokojąca, że do wiadomości o próbie samobójstwa przez otrucie, bądź też przez powieszenie w celi więzienia wojskowego w Modlinie, dochodzą inne mówiące o jego śmierci, spowodowanej torturami Bezpieki, przy czym miano mu z premedytacją polamać ręce. [...] Już nie tylko sama afera, ale również sposób jej przedstawienia stanowi niesłychaną kompromitację reżymu. Wyraźniejsze stają się metody bezprawia uprawiane w PRL”.

„Der Spiegel” nr 26 z 1975 r.: „Pawłowski pod koniec maja aresz-

I ZNOWU BĘDĘ

towany został przez tajną policję w czasie pośpiesznego przygotowania ucieczki w drodze na warszawskie lotnisko Okęcie, a po nieudanej próbie popełnienia samobójstwa, odwieziony został do szpitala więziennego. [...] W międzyczasie dowiedziano się, dla jakiego mocarstwa miał

CIĄG DALSZY NA STR. 16

15

KONTAKTY

1986-12-21

1986-12-21

penetracja



porwanie, to szkoda waszego cennego czasu. Mój wujaszek nie da wam za mnie ani złamanego centa. Zresztą, nie mam wujaszka, i tatusia też już nie. Czy nie lepiej wrócić z powrotem i zabawić się z dziewczynkami? Na tyle mnie jeszcze stać, ale, słowo daję, na nie więcej!

— Zamknij się! — uciszył go jeden z osiłków. — Niech ci się nie wydaje, że jesteś taki dowcipny. Prawda, Bill?

— Prawda. Za takie dowcipy można dostać po ryju — mruknął drugi olbrzym i Garberowi natychmiast odechciało się konwersacji.

Jechali w milczeniu przez kilkanaście minut, po czym samochód zatrzymał się przed odrapaną willą, stojącą w głębi zapuszczonego ogrodu. Garber prowadzony przez cerberów wszedł do środka domu, mimo wszystko z duszą na ramieniu. W swoim życiu był już parę razy w podobnej sytuacji, wliczonej przecież w koszt własne i w ryzyko jego zawodu, jednakże zawsze czuł się trochę nieswojo, do czego — prawdę mówiąc — miał chyba prawo. Kiedyś kazał porwać go kochanek jednej ze śledzonych damulek, którą mąż podejrzewał o zdradę. Cała sprawa zakończyła się kilkoma siniakami na twarzy oraz nader rozsądnym kompromisem; damulka przyrzekała uroczyście, że o swoich sukcesach miłosnych ani słowa nigdy już nie powie przyjaciółkom, od których mąż dowiedział się wszystkiego, natomiast kochanek — jeden z największych przemysłowców w Sydney — wypłacił Garberowi solidne odszkodowanie z tytułu doznanych krzywd moralnych i fizycznych oraz, ma się rozumieć, za obietnicę milczenia, dzięki której to obietnicy nie rozpadło się jeszcze jedno małżeństwo, przemysłowiec zaś mógł dalej, bez przeszkód, zaspokajać swoje potrzeby erotyczne. Nie wyglądało to może zbyt uczciwie z zawodowego punktu widzenia, niemniej jednak stanowiło jakieś rozwiązanie, możliwe do przyjęcia przez wszystkich, bo i mąż, skoro plotki wreszcie ustąpiły, poczuł się szczęśliwy.

Ale to było dawno, a teraz Garber idąc ciemnymi korytarzami zastanawiał się, w jaką kabałę wdepnął tym razem, i jakież było jego zdumienie, kiedy po wprowadzeniu go do pokoju zobaczył rozpartego w polamanym fotelu inspektora Collinsa.

Collins też był zaskoczony, ale nie dał tego poznać po sobie. W swoim repertuarze starego wyżyła policyjnego miał różne sztuczki, takie właśnie jak ta, polegająca na przesłuchaniu podejrzanego w okolicznościach niezwykłych, w których delikwent nie mógł się domyślić, z kim właściwie ma do czynienia, z policjantem czy — przeciwnie — z bandytą. Dawalo to nieraz znakomite efekty; ludzie niezbyt chętnie współpracują z policją, obawiając się etykiety konfidenta, a ponadto, w tym konkretnym przypadku, inspektor nie miał żadnych podstaw prawnych do zatrzymania faceta, który gdzieś tam wypytywał kogoś o jakiegoś nieboszczyka. Niestety, wywiadowca nie ustalił w porę nazwiska tego człowieka, bo gdyby było wiadome, że chodzi o detektywa z agencji Salingera, inspektor nie pozwoliłby sobie na taką mistyfikację, dzięki której on, policjant, wyszedł teraz na frajera.

I rzeczywiście, Garber nie byłby sobą, gdyby nie wykorzystał takiej okazji.



— Greg, kochany, o czym ty mówisz? — na twarzy Stefani pojawily się szkarłatne plamy. — Chciałbyś, żebym wykorzystując przeszłość, pojechała do tego człowieka, rzuciła mu się na szyję i w ten sposób wyzbrała obraz dla jakiegoś tam Maxwella?

— Nie musisz jechać, możesz zadzwonić, albo załatwić to w ja-
kiś inny sposób. O ile wiem, twoja firma utrzymuje z nim kon-
taty handlowe.

Coś dziwnego stało się ze Stefanią, która nagle poczuła się tak, jak gdyby w jej mózgu otworzyły się jakieś zamknięte dotąd klapki. Z przeraźliwą wprost jasnością dostrzegła, że Greg oszukiwa-
ją cały czas, ponieważ wiedział znacznie więcej o Ammalu, ni-



CIĄG DALSZY ZE STR. 15

pracować «złoty szermierz» dla Francji. [...] Fakt, że sprawa domniemanego mistrza-szpiega francuskiego ujrzała światło dzienne właśnie 3 tygodnie przed wyładowaniem w Warszawie prezydenta Francji Giscarda uważany jest przez ekspertów tajnych służb zachodnich jako oznaki politycznych rozgrywek w warszawskim kierownictwie».

*

— Szokiem było pana zatrzymanie, konsternację wywołało ujawnienie pana powiązań z obcym wywiadem, potem zaś tu i ówdzie mówiło się o stosunkowo łagodnym wyroku.

— 25 lat pozbawienia wolności to łagodny wyrok?

— Był pan oficerem Wojska Polskiego.

— Powinienem więc dostać karę śmierci, tak? Nie miałem prawa dostać 25 lat, nie mówiąc już o najwyższym wymiarze kary! Przecież sam się ujawniłem, sam podałem wszystkie okoliczności, wszystkie fakty.

*

Z aktu oskarżenia: „[...] po wstrzymaniu osk. Pawłowskiemu wyjazdów za granicę przedsięwziął on starania o uchylenie tej decyzji, przy czym ustalił, że została ona podjęta w związku z zainteresowaniem się jego osobą przez organa WSW. W tej sytuacji dalsze operacyjne rozpracowanie osk. Pawłowskiego stało się niemożliwe i w dniu 17 kwietnia 1975 roku został on wezwany do Szefostwa WSW w celu wyjaśnienia swego udziału w obcym wywiadzie. Osk. Pawłowski poinformowany o przyczynie wezwania początkowo kategorycznie zaprzeczył, by zajmował się tego rodzaju działalnością i dopiero w drugim dniu prowadzonych z nim rozmów, po nabraniu przekonania, że organa WSW są w posiadaniu obciążających go dowodów, rozpoczął składanie wyjaśnień o współpracy z wywiadem amerykańskim».

*

Po dziewięciu latach pobytu w więzieniu, mając przed sobą perspektywę odbycia kary następnych 16 lat pozbawienia wolności, Jerzy Pawłowski [...] czu-

rzeł Jerzego Pawłowskiego, agenta CIA, człowieka, który zdradzał swój kraj, nie można odnieść wrażenia, iż «bohater» dokumentalnego filmu TV niczego nie zrozumiał. [...] Wyurzeczenia Pawłowskiego nie brzmią przekonująco. Brzmią wręcz fałszywie. Ujawnił się nam jako szczególnego typu megaloman i egocentryk, antypatyczny, nie tylko z tego po-

w jaki sposób z kimś takim mam dyskutować.

— Film powstał podczas pobytu pana w więzieniu i nikt nie przypuszczał, że ze strony amerykańskiej pojawi się propozycja wymiany. Plotkowano, że karę pozbawienia wolności odbywał pan w lepszych niż inni warunkach.



I ZNOWU WIELKI
BĘDĘ

je się znakomicie. Stuchając wywiadu, że słabego charakteru, ale przede wszystkim z tej racji, że pozbawiony podstawowych wręcz cech właściwych dojrzałemu obywatelowi: patriotyzmu, odpowiedzialności, ale także wyobraźni i umiejętności przewidywania. To z tekstu Jerzego Saldeckiego, „Pogarda”, zamieszczonego w „Trybunie Ludu” 6 marca 1984 roku.

— Czego oczekuje pan ode mnie po tym, co mi pan tutaj przeczytał? Mogę tylko powiedzieć, że ten Saldecki to biedny człowiek. O czym i

— Dobrze pan to określił: plotkowano. Siedziałem w warunkach okropnych. Nie oglądałem telewizji, nie otrzymywałem paczek, odmówiono mi widzenia z ojcem, który był ciężko chory i po otrzymaniu pisemnej odmowy zmarł po kilku godzinach. Do tego ciągle miałem koło siebie zbrodniarzy i zwyrodniałców. By być psychicznie zdrowym, tłukłem ich. Na pewne typy skutkuje tylko pięść i noga. Więzienie pozwoliło mi jednak zrozumieć tragizm ludzkich losów, pozwoliło pojąć, że za kratkami znajdują się

także ludzie wartościowi, głęboko czujący, wrażliwi.

— Ale przecież, posługując się pana określeniem, tłukł ich pan...

— Tylko i wyłącznie psychopatów. W więzieniu rządzi prawo pięści i trzeba się do niego dostosować. Zresztą pod wpływem księdza i to moje tłuczenie zelżało, a ja zmieniłem się. Przez całe lata nie praktykowałem, zapomniałem nawet modelitwy. Teraz nastąpił wstrząs. Spotykałem się z księdzem w więzieniu, czytywałem się w „Pismo święte”, znajdując w nim takie treści, których istnienia nawet się nie domyślałem. Stałem się człowiekiem wierzącym i praktykującym. Mój najstarszy syn poszedł z pielgrzymką do Częstochowy; ponownie nawiązaliśmy naderwane nici między nami.

— Jak pan przyjął wiadomość o propozycji wymiany?

— Byłem oburzony! Fakt, że strona polska chce mnie wymienić, oznaczał, iż moje nazwisko dla władz nie ma większego znaczenia. Było to kolejne bolesne doświadczenie.

— Nie skorzystał pan jednak z amerykańskiej oferty.

— Bo Polska jest Polską, moją ojczyzną; ona jest jedna i najważniejsza.

— Jak przyjęli pana motywację Amerykanie?

— Zaskoczyłem ich. Nie wierzyli, że ktoś może odrzucić tak znakomite warunki. Na taki krok mógł zgodzić się tylko ktoś taki, jak ja. Nie przyjąłem również od Amerykanów odszkodowania za pobyt w więzieniu.

Gdy po kilkunastu dniach zaznajamiania się z tzw. sprawą Pawłowskiego i rozmów z nim stawiam sobie pytanie, jakim jest on człowiekiem — nie potrafię udzielić odpowiedzi.

JANUSZ HAŃDEREK

się na początku rozmowy przyznał. A wniosek stąd mógł płynąć tylko jeden: wszystko to, co się dzisiaj stało, było wcześniej zaplanowane i obliczone na jej naiwność, łatwowierność kobiety zakochanej do szaleństwa w młodym mężczyźnie. Była w tej grze jedynie narzędziem, z pomocą którego jeden kolekcjoner miał odebrać drugiemu arcydzieło, nie do zdobycia w inny sposób. Czyż nie dlatego Maxwell nie wyrzucił Grega z pracy po jego słynnej wpadce telewizyjnej i czy nie dlatego Greg robi teraz wszystko, żeby pomóc mu w spełnieniu jego kolekcjonerskiej zachcianki?

☆☆☆

Detektyw Garber nie lubił pracować, ale kiedy już zabrał się do roboty, zazwyczaj wykonywał ją szybko i solidnie. Odbarzony którymś tam z kolei myśleniem, jakim niewątpliwie jest intuicja, chwytal się pierwszego z brzegu punktu zaczepienia, po czym eliminując kolejne nieprawdopodobieństwa i zbierając fakty, nieomylnie podążał do celu, którym zawsze było poznanie prawdy obiektywnej. Jednakże w ostatniej zleczonej mu przez Salingera sprawie, mimo upływu czasu, nie posunął się zbytnio do przodu, jeśli nie liczyć kilku nocy spędzonych w łóżku z panną Jill, co było niewątpliwie bardzo przyjemne, ale z punktu widzenia jego pracy mało, niestety, efektywne. Ta kobieta po prostu zawsze była czujna i spięta, nawet w tych najintymniejszych momentach, kiedy normalne niewiasty gotowe są przyznać się do popełnienia morderstwa, jeśli przypadkiem coś takiego im się przytrafiło.

Z intymnych kontaktów ze swoją chlebodawczynią Garber wyniósł jednak pewne korzyści zawodowe. Stwierdził mianowicie ponad wszelką wątpliwość, że w sprawach seksu jest ona człowiekiem niebywale doświadczonym, oraz że nie ma dla niej większego znaczenia, z kim seks uprawia. Była to wskazówka nader istotna, pozwalająca bowiem właściwie ocenić charakter Jill, co z kolei pozwalało na wyciągnięcie wniosku w sprawie motywu, jakim kierowała się przychodząc do agencji Salinger. Skoro w grę nie wchodziła miłość, czy może raczej wierność pozamałżeńską, pozostawały tylko pieniądze. Grube pieniądze, jeśli wziąć pod uwagę, z kim jej kochanek się ożenił. Być może był w znowu, a teraz on ją chciał wykiwać, i stąd właśnie owe dziwne dosyć zlecenie, aby zbać, co właściwie knują Marsden z Maxwellem.

Tyle, jak dotąd, Garber przekazał w raporcie Salingerowi, natomiast Jill nie miała właściwie niczego do powiedzenia. Zdołał jedynie ustalić, że odbyły się tylko dwie rozmowy między podwładnym i jego szefem, obie w cztery oczy i po obu Marsden wyglądał tak, jakby dostał pałką po głowie. Żadną miarą nie wyglądało to na partnerską dyskusję dwójki szubrawców, którzy wspólnie szukają jakiegoś bezceństwa. „Szubrawcami to może oni są — myślał Garber — ale z całą pewnością nie działają razem przeciwko mojej klientce. O co więc jej chodzi i w ogóle co tu jest grane?”

— Szukając odpowiedzi na te pytania, detektyw ją zglebiał życiorys Marsdena, dzięki czemu trafił do baru „Pod Topolami”. Podczas kilku kolejnych wizyt, suto zakrapianych dosyć nędznym alkoholem, dowieiedział się tam wielu ciekawych szczegółów z życia Grega, z tych zaś jeden zainteresował go specjalnie. Otóż niejaka

panna Ruth Kessler, zawodowa striptizerka o kształtach prowincjonalnej Wenus z Milo, przez jakiś czas miała być jakoby jego kochanką. Później urodziła bliźnięta, a jeszcze później zniknęła na dobre, czyniąc to akurat w dniu, w którym zginął śmiercią całkowicie tajemniczą jeden z pracowników lokalu — Dick Wareda, zwany Mobym ze względu na wielorybie kształty ciała i mózg równie mało pojemny jak u wieloryba. Wszystkie te fakty mogły nie mieć ze sobą nic wspólnego, mogły jednak mieć, zaś intuicja Garbera podpowiadała mu, że bardziej prawdopodobną jest ta druga alternatywa.

A jednak przy całym swoim sprycie Garber w porę nie spostrzegł, że w tym samym czasie, kiedy prowadził swoje śledztwo, kto inny z uwagą śledził jego poczynania. Tym kimś był inspektor Collins, któremu doniesiono, że jakiś facet interesuje się nadmierne losom nieboszczyka Moby'ego, a także wieloma innymi ludźmi, póki co jeszcze żyjącymi, w taki czy inny sposób powiązani z barem „Pod Topolami”. Czyżby był to właśnie ów trop, na który tak długo czekał?

Czwarta już z kolei wizyta Garbera w barze zakończyła się całkowitym niepowodzeniem. Wydał kolejne sto dolarów na drinki stawiane przypadkowo poznanym pijakom i nie dowiedział się niczego, co mogłoby posunąć śledztwo choć o pół kroku do przodu. Aby tej nocy całkiem nie zmarnować, detektyw ją rozglądać się za jakąś dziewczyną. Wybrał w końcu drobną brunetkę, zamienił z nią kilka zdań stosownych do okoliczności, po czym wypili po dwa aperityfy i ruszyli do wyjścia.

Kiedy wyszli na ulicę i Garber chciał zawołać taksówkę, ze stojącego nieopodal samochodu wysiadło dwóch mężczyzn sprawujących wrażenie niezłych osiłków.

— Halo! — powiedział jeden z nich, podchodząc do detektwa. — Zdaje się, że szuka pan środka lokomocji? Właśnie mamy coś takiego i chętnie pana podwieziemy. Prawda, Bill?

Człowiek nazwany Billem wyciągnął z kieszeni żyłaste łapy. — Wsiadaj pan! — warknął cicho, ale dobitnie. — Tylko bez żadnych sztuczek.

Garber błyskawicznie ocenił swoje szanse i doszedł do wniosku, że ich właściwie nie ma.

— W porządku — powiedział, po czym zwrócił się do dziewczyny. — Wybacz, kochanie, odbijemy sobie z nawiązką następnym razem, teraz mam miłsze towarzystwo.

Cała trójka wsiadła do wozu, poganiana złorzeczeniami obrażonej kobiety, która obrzuciła detektwa kunsztowną wiązką przekleństw, wymyślając mu jednocześnie od zwariowanych zboczeńców i homoseksualistów. Samochód ruszył z piskiem opon, prowadzony przez małego człowieczka wyglądającego przy dwóch osiłkach jak młodociany Dawid przy podstarzałych Goliatach.

Garber wygodnie rozparł się na poduszkach. Był przekonany, że nic mu nie grozi, bo jakież to bandyta, posiadający choć odrobinę rozumu w głowie, chcąc uziemić delikwenta pozostawi na ulicy świadka, który w razie czego wszystko dokładnie wyśpiewa, łącząc z rysopisami napastników? Oczywiście żaden, więc detektyw mógł sobie pozwolić na zlekceważenie swoich prześladowców.

— Chłopak! — powiedział nieomal radośnie. — Jeśli to jest

Szczerść wypowiedzi w sztuce zawsze budziła żywe zainteresowanie, spory, namietności. Kiedyś panowało naiwne przekonanie, że artysta śpiewający pobożne pieśni czy malujący „święte” obrazy sam nie może być paskudnikiem i grzesznikiem. Implikacje takiego nastawienia były zresztą równie prostolinijne, co bezwzględne. Zupełnie inaczej widzi się tę sprawę w sztuce nowej, we współczesnej zaś — w sposób zupełnie szczególny.

Od półtorej setki lat sztuka rozwija się przez bunt, zaprzeczenie poprzednikom, aż do zniweczenia ich osiągnięć (czy wszystkich dotychczasowych prądów, jak głosili futurysty). Bezkompromisowość znacznej części twórców prowadziła, mimo że często występowali w grupach, do krańcowej indywidualizacji twórczości, i tak wysiłek w niepowtarzalności (oryginalności) stał się dominującym kanonem sztuki, a ekshibicjonistyczna szczerść — kryterium prawdy. Inna rzecz, że sfery życia mniej wzniosłe od sztuki (zarówno boskiej, jak i ludzkiej) przynosiły coraz częściej wciąż pogłębiające się kryzysy wartości najwyższych i niezmiennych.

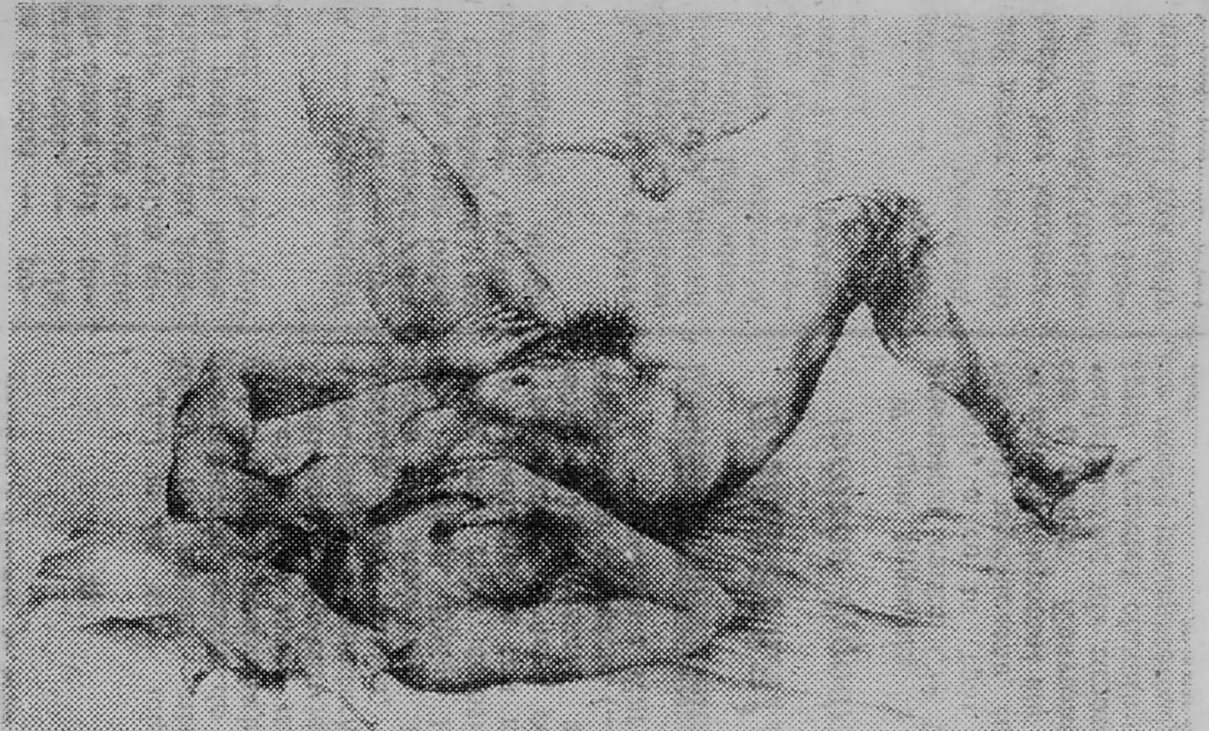
A jednak istnieje w sztuce współczesnej także tendencja odmienna (nie piszę „przeciwna”, bo przeciwnikami mogą być poszczególni twórcy, ale nie dzieła) — poszukiwania i przywracania wartości. Objawia się to w przekonaniu, że nawet wówczas, kiedy plastyka przedstawiająca została „przelicytowana” przez nowoczesne, doskonałe technicznie środki wykonania i przekazu, warto i należy uprawiać, na przykład, rysunek: zwyczajny studijny, szkicowy, notatkowy, a także ten, który wystarcza sam sobie i nie wymaga rozwinięcia czy przetworzenia w innych technikach.

Taki rysunek uprawia Stanisław Kędzielski. Jego prace to nie wizje przyszłych dzieł malarskich ani „zapis automatyczny” (w rozumieniu nadrealistów), ale rysowanie tego, co podsuwa psychika wówczas, kiedy się zaczyna rysować. Rysuje zachcenia, podniety, impulsy marzeń i obserwacji. Jest to zarys — czy też raczej ZA-RYS, używając norwiderskiej pisowni —

figury inłymności

nie będę więc powtarzał interpretacji tego zjawiska. Wspomnieć jednak muszę, że choć modelka pozostawała ta sama — z papierosem w dłoni albo nie rozebrana (nie ubrana) do końca czy uchwycona w chwili, gdy przysiadła na moment, aby założyć (zdjąć) domowe ubranie — kobieta za każdym razem jest inna.

O ile przed dwoma, trzema laty rysunkowe akty Kędzielskiego były portretami ciała kobiety nie



tego, co najsilniej wydobywa się z podświadomości, a jest tłem świadomości.

Tematem rysunków Kędzielskiego jest ludzkie ciało. To, co dane nam najwspanialej i najdotkliwiej, jest zegarem najbardziej obiektywnym, podmiotem i przedmiotem zarazem. I ten właśnie fenomen naszego ciała, jego cielesność (a nie możliwości wyrażania innych stanów, uczuć czy przeżyć), fascynuje artystę. Przede wszystkim jest to akt kobiety; nie w ogóle, ale jednej, uniwersalnej, totalnej wszechmodelki. Pisałem o tym szeroko przy poprzedniej wystawie,

wyzwającego seksualnie, ale dającego obietnicę spełnienia seksu, portretami bez twarzy (była ona albo szkicem, albo wyraźnie drugoplanowa), to na nowych rysunkach jest to wizerunek pełny. Ona ma twarz; trochę złą, bardziej jednak zmęczoną, zapowiadającą starość.

Przy całej odmienności warsztatu i wyobraźni Kędzielskiego — ta kobieta przypominała mi (bardzo pośrednio) inną: tę z rysunków Bernarda Buffeta sprzed prawie czterdziestu lat. Skojarzenie to ma chyba przyczynę głębszą niż podobieństwo rysu twarzy czy kilku kresek w zarysie ust modelki. Rysunki Kędzielskiego wydają się smutne; szcze-

gólnie „Romeo i Julia” (choć on rysuje raczej Julię i Romea), „Weteran”, „Ostatni koncert mistrza” czy — przejmując dyskretny dramatyzm — „Światłość”. Kiedy jednak ochłonie się z pierwszych wrażeń ołowianej szarości, dotrze do nas uświadomienie, że przecież tacy jesteśmy — niezbyt podobni greckim czy renesansowym marmurom ani wielobarwnym, papierowym (magnetowidowym) aniołkom erotyzmu. Odkryjemy żartobliwość (a nie obsceniczność stylizacji łonowego porostu na wschodzące żytko), ironię „nadsucia” brzoły, na której siedzi modelka, przewrotność aktu w pluszowym fotelu i „golizny” przy której erotomani nie użyją sobie, bo jest to rysunek jednoczesny dwóch poz nagiej kobiety — raz siedzącej z rozstawionymi nogami, a raz z nogą założoną na nogę. Podobnie żartobliwy, autoironiczny jest „Mój warsztat” — obraz rupieciarni na stole, wśród której przy kucnęła goła kobieta. Nie, nie goła; ma przecież na stopach szpileczki! Schyliła się po coś i nie widzi, że patrzy na nią ktoś siedzący na fotelu obok, zwrócony ku stołowi, czego można się tylko domyslać, bo widoczne są jedynie jego dłonie spoczywające na poręczach.

Jest to wystawa naprawdę intymna, pokazująca bardzo prywatne myśli, zachcenia, nastroje autora. Nie dziwnego więc, że nielato namówić go na pokazywanie tych rysunków. Ale jeśli już się udać, szkoda, że nasze BWA nie dysponuje możliwościami zakupienia i przechowywania tej wystawy: po to, aby pokazać ją poza Łomżą, włączyć w krajowy obieg sztuki. Niechże pomyśli o tym miejscowy mecenat, który, choć lansuje świetlicowy model kultury, może zdobyć się na krok pozwalający sądzić, że wie i o tym, iż dzisiejszy zbytek w upowszechnianiu sztuki już jutro staje się chlebem powszednim. Tak utwierdzają się wartości, stają się społeczne.

ANDRZEJ JASION

Obje razem mają 155 lat. Urodzili się tutaj, w Dębniakach koło Nowogrodu. — On jest z końca, a ja stąd, ze środka wsi — mówi pani Helena, podnosząc się na chwilę z klęczek, aby przesytać do worka zboże, które przesiewa zwyczajnym sitem. Pan Bolesław przysiadł na warsztacie i pali papierosa. Odnosił do szopy kołowrotki, przy których pracował. — Teraz został ostatnim drejarzem — mówi — na całą okolicę. Nie ma kto robić ani naprawić kółek. Dawniej w każdej wsi było paru.

— A ja myślałem, że w skansenowej kapeli jest pan ostatnim już muzykantem. — Ostatnim? — pan Bolesław jakby się dziwił. — Ostatnim to nie, tylko najstarszym — mówi wolno, cichym, niskim głosem, jakby wziętym od basetli czyli maryny, na której gra w kapeli i którą sam zrobił. — Tydzień będzie, jak wojewoda dał medal Chętnika kapeli za to granie. Już sześćdziesiąt lat! Chętnik wziął go, jak miał osiemnaście, przez szwagra z Nowogrodu — pani Helena spogląda na męża i uśmiecha się. — Ja nie wie-

części tej urody nie odda żaden zapis, więc nawet nie próbuję. — A tak — ciągnie dalej, widząc moje pytające spojrzenie — jak rząd nam daje, to i my dla państwa. Ile on tych skrzypiec narobił, ligawek, nadawał do muzeów! Ale emeryturę wypracował i mamy. I całkiem bezpieczne my teraz. A jak trzeba gdzieś jechać, to jadziem. Nie dla pieniędzy, ale dlatego, że mamy taką chęć.

— Tak — wtraca pan Bolesław — ta chęć zawsze u nas jest. I jak długo nigdzie nie jedziemy, to tęskno do naszych współolbrzymów z kapeli. — A ja — ożywia się pani Helena — w domu jestem chora, ale jak jedziemy do ludzi, występujemy, to jakbym u najlepszego lekarza była. Namęczę się, zgrzeję i nie mi nie jest, a nerwy jakby się rozpuściły. Trzeba tylko chcieć.

Nie wymyślił Wyspiański swego „żeby nam się chciało chcieć”, tylko usłyszał w podkrakowskiej wsi. Teraz ja słyszę to samo w Dębniakach. I myślę o tym, czy będą następcy, czy wyrosną dalsze pokolenia Olbrysiów. Nie pytam o dzieci

dy pójde do boru z wózkiem zbierać drzewo, to nie mam w sobie tego, żeby się wstydziła. We wszystkim trzeba być zadowolonym. mieć w sobie wesołość, wtedy nawet głód niestraszny — śmieje się, a pan Bolesław, potakując, dodaje: — Ludzie (ja to widzę nie tylko tu, ale jak jeździmy z naszym zespołem) są strasznie zazdrośni. I to jest najważniejsza przyczyna, że nie są zadowoleni. A druga, że jak mają coś zrobić, to najpierw nie pomyślą. Ja przed każdą robotą, czy to będą skrzypce, czy sianie pola, czy kółko do przedzenia, zawsze, zanim zasną, pomyślę. A dzisiaj, w jakim zakładzie czy fabryce idą do roboty, wcale o niej nie myślą.



Przelusują się cały czas i idą do domu. A trzeba robić i łbem, i rękami, inaczej nic nie będzie.

Nie będzie. Przynajmniej tego, co (i jak) robi pan Olbrys; a robi instrumenty i chrzcielnice do kościoła w Zbójnej, oświetlenie kościoła w Turośli i drewniane żyrandole wzorowane na „pajakach”; nie będzie, bo zabraknie następców. Dyrektor Muzeum Okręgowego chciał panu Bolesławowi, gdy przechodził na emeryturę, wyposażyć „majsternię, żeby uczył tych robot, co je robi”, ale nie znalazł się ani jeden chętny. Świat idzie ku takim zmianom, po których nie będzie Olbrysiów. A czy świat będzie? Kiedy traciłem ten temat, pytając, czy dla na-

sekretnarz nie wtedy nie odpowiedział.

Zamilkliśmy na dłuższą chwilę. Pani Olbrysiowa widać źle znosi ciszę, bo chwyciła wiadro, tarę i zaczęła szatkować ziemniaki. — No — pan Bolesław sięgnął pod okno — trzeba jeszcze nad tym trochę pomyśleć. — Wyciągnął w moją stronę rękę, w której trzymał dość długi drewniany kółek. Wziąłem go i stwierdziłem ze zdumieniem, że jest nadzwyczaj lekki. — O, trzeba by flet zrobić. Rurkę już przewierciłem. To ze stołowej nogi. Dobra będzie, sucha, przedwojenna. Do Świata może skończyć.

HENRYK GAŁA

OLBRYSIOWIE

działam, że on jest w tej kapeli, dopiero jak wyszłam za niego. — I co, nie zabraniała pani? — Wzrusza ramionami: — Ja mu nic nie mówiłam. Gdzie go wolali, tam szedł, a ja jeść dałam, ładnie ubrałam. — Więc razem występowaliście? — Nie, ja przyszedłam do kapeli niedawno, czternaście lat. To pani Chętnikowa, już po śmierci pana Chętnika, mówiła, żeby w kapeli byli panie, to będzie lepiej im szło. I pan Moraczewski tak mówił. No to zaczęliśmy. Napierw było więcej, ale potem te drugie mówiły, że za mało dostają zapłaty, no i zostaliśmy we dwie. A przecież wypłata nieważna; jak akurat roboty w gospodarstwie dużo, to się dniówkę traci, ale tak... My ludzie społeczne. — Pani Helena wynawia „społeczne” i w ogóle mówi gwarą („Ja nie umiem mówić tak, jak w książkach pisem”), a jej gwara kurpiowska jest szczególnie urodziwa: nie rozwleka słów, wyraźnie artykułuje wszystkie „mazuzenia”, chowanie zgłosek wargowych za zęby, na koniec języka, akcentuje po swojemu i według swojej muzyki pauzuje. Choćby

(tych Olbrysiowie mają troje, wszystkie poza domem, dobrze sobie w życiu radzą i nie zapominają o rodzicach), lecz o rodzaj człowieka, który nie zasklepi się w swojej orce, chapaniu pieniędzy, ale znajdzie chęć, doloży do niej swoją pracę i talent, aby dać z siebie coś innym. Z tego płynie też ten spokój i pogodność tych dwojga. Każdy, kto z nimi rozmawiał, kto widział, jak żyją wedle swojego, ale i przastarego porządku, kto słyszał, jak śpiewa i tańczy pani Helena, jak gra i czasem przysięga coś pan Bolesław, pomyśli o nich: szczęśliwi ludzie. Więc myślę także o umiejętności pokierowania swoim życiem, zwyczajnym i w najzwyczajniejszym otoczeniu. Pytam więc, czy mogą powiedzieć coś o szczęściu. — Co ja mam tu do powiedzenia — zamyśla się pani Helena, aż umilkł szum ziarna na sicie. — Nie każdy tak się kieruje, nie każdy tak się rządzi, żeby mieć więcej chęci niż roboty. Ja wszystkim się cieszę. Jak pójde na pole, a dobrze mi się pracuje, to jestem taka zadowolona, że mogłabym obiadu nie jeść, tylko pracować. Kie-

prezentacje



organ sponzorowany
pod redakcją
Wiesława Gajdyńskiego

konserwaty

Z PAMIĘTNIKA SEKSUALISTY (125)

— Ale moja choroba straszniejsza! — wrzasnąłem prze-
rażony już nie na żarty! —
Ciało me kawałkami odpada,
z ust mi wonieje kwaśno i w
ogóle na tamten świat się
wybieram!

— Nic nie szkodzi — po-
wiedział skrzypiciel. — Ja
też na księżą oborę już pa-
trzę. To i owo dawno u mnie
odpadło, zostało zaś tylko sa-
me ważne, dzięki czemu jesz-
cze niejednej podołam babie.
No, sama chodź tutaj, bo mi
szkoda czasu!

— Pani! — wrzasnąłem
czując nóż na gardle. — Czy-
liż nie widzisz, iż mężczyzną
jestem ogoniastym, a nie babą
dziurastą? Czy oślepięś do
cna i nie dostrzegasz anatomi-
cznych szczegółów mego
ciała?

— Zgadłeś, panna — odparł
mi na to chrypiasty. — Jakom
ci już był powiedział, niemal
wszystko mi zgniło lub odpa-
dło, ze wzrokiem włącznie,
tak tedy tylko zmysł powin-
nienia mi został i ten powia-
da, iżś niewiastą!

— Mężczyzna! — wrzas-
nąłem, ile tchu w piersiach.
— Wprawdzie jeszcze nie do
końca, to znaczy bez koniecz-
nej jakoby w męskości inicja-
cji seksualnej, alści, do jas-
nej cholery, nie baba! Tak tedy
racz to brać pod uwagę, gdyż
jak się zdenerwuję, łaźnię ci
zaraz wielką sprawię!

Przemowa ta, wypowiedzia-
na przeze mnie z mocą i zde-
cydowaniem wielkim, zmyty-
gowała nieco chrypiastego,
który mimo iż mi dalej nie
wierzył do końca, jął się jed-
nak trochę zastanawiać.

— Jeśliś nie jest babą —
powiedział ze smutkiem — to
ze mną całkiem kiepskawo.
Dotychczas nigdy się jeszcze
nie pomylił w tej sprawie, a
zatem cóż się takiego z mym
nieomylnym instynktem sta-
ło?

— Pewnie skapcaniał —
podsunął chrypiastemu
myśl, która wszelako nie bar-
dzo mu się podobała. (Cdn.)

Motto:
Dobrze czy źle,
byle dużo.

„Kochana Podredakcjo!
Moc serdecznych całusów
z okazji świąt Bożego Naro-
dzenia, mam nadzieję, że mi-
mo wszystko wesółych i sy-
tych. Chyba sami nie korzy-
stacie z przepisów kulinarnych
Waszej Gospodyni?
Stały czytelnik
Stanisław Raciborski
z Łomży.”

PODREDAKCYJNA EKSTRAPOCZTA

„(...) w tę noc wigilijną,
kiedy to nawet zwierzęta
przemawiają, idźcie do jakie-
goś chlewa i posłuchajcie so-
bie, co o Was sądzą wieprze.
Z pewnością dyskutują one
o kolejnych przygotowaniach
seksualisty, tego samca, który
ciągle nie może się spraw-
dzić w akcji. Będąc kobietą
radzę mu, żeby zgłosił się
do seksuologa, a ten mu już
z pewnością doradzi, co ma
robić, żeby wreszcie zakosz-
tować tego szczęścia (...).”
(anonim z Warszawy)

uniwersalna wroźba tygodnia

W tym tygodniu z całą
pewnością czeka Cię Wielkie
Zarcie, a co za tym idzie,
nie jest wykluczone, że Two-
ja wątroba upomni się wresz-
cie o swoje. Konsumując i
nadużywając nie zapomnij o
tym! Przecież chciałbyś jesz-
cze trochę powegetować, praw-
da?
KASSANDER



KONKURSOWA FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

KOLEDA

Nazbierało się na świecie
też ocean cały
dobrze więc, żeś do nas przyszedł
Jezusieчку mały.

Może ludzie w swojej złości
widząc cię w żłobeczku
zreflektują się choć trochę
odmienia krzynekczkę.

Zamiast się na siebie boryć
zawiść w sercu nosić
w dobrym dziele się zjednoczą
wyzbędą się złości. [...]

Zostań z nami, Jezusinku, zatem jak najdłużej
przyniesiemy ci choinkę, będziemy ci służyć
jak umiemy najsukuteczniej będziemy pilnować
byś dorastał nam bezpiecznie i w zdrowiu

abyś potem, gdy dorosniesz, mógł jak głosi wiara
wszelkie dobro wynagrodzić a za złe ukarać.

Nota biograficzna: Karol Mróz, ul. Ks. Janusza I 8/65, 18-400
Łomża.

rodzi się mały nie zalej pały!

HASŁO TYGODNIA

WIESCI PONADGMINNE

Japończycy potrafią myśleć
i działać. Zadziwiają świat
nie tylko zdumiewającą eks-
pansją swojego eksportu, ale
także pomysłami, których za-
dna inna nacja z pewnością
nie mogłaby wymyślić.

Ostatnio we wszystkich
większych miastach zainstalo-
wali oni w centralach tele-
fonicznych coś w rodzaju e-
lektronicznej zegarynki, któ-
ra wszelkie pełni całkiem in-
ną rolę. Po wykręceniu od-
powiedniego numeru każdy
Japończyk może dać upust
swoim wewnętrzny stresom,
napęciom i frustracjom, np.
wykrzykując w mikrofon:
„Jesteś świnią!” A w słuchaw-
ce odzywa się uniżony głos:
„Owszem, jestem świnią, ma
pan całkowitą rację, bardzo
przepraszam!”

Chytre to urządzenie zosta-
ło tak przemyślnie skonstruo-
wane, że odpowiada na każ-



z urzędowej tablicy ogłoszeń

„Uwaga pracownicy tut.
przedsiębiorstwa!

Rada Pracownicza zawiada-
mia niniejszym, że w zwiąż-
ku z nadchodzącymi świątami
planuje się urządzenie choinki
dzieciom tut. pracowników.
Jednocześnie zawiadamiamy,
że skromność naszych dys-
ponowanych środków płatni-
czych nie pozwala nam na
zakup paczek dla Mikołaja,
które mają być wręczone w
trakcie trwania imprezy, i w
związku z powyższym rodzice
winni zakupić prezenty sami
i bezpośrednio przed rozpoczę-
ciem uroczystej choinki prze-
kazać ją Mikołajowi, którym
będzie kol. [...] z działu plano-
wania. Impreza najpewniej
odbędzie się w początkach lub
w środku miesiąca stycznia
roku nast., toteż prosimy o
terminowe potraktowanie wy-
wymienionej sprawy.

Za Radę Pracowniczą

(dwa podpisy czytelne)

da obelgę, przyznając rację we
wszystkim i — ma się rozu-
mieć — każdemu. W ten spo-
sób każdy może się dowarto-
ściować, bowiem jeśli może-
my jeszcze kogoś skutecznie
opieprzyć, to nie jest z nami
aż tak źle.

My raczej nie doczekamy
się takiego urzędnika i to na-
wet nie dlatego, że jesteśmy
do tyłu z mikroelektroniką. U
nas obowiązuje pełna kultura,
a więc nie wolno nam bluź-
nić, nawet jeśli naszym słu-
chaczem jest półprzewodnik
plus mikroprocesor.

Aby jednak nie było nam
przykro z tego tytułu, propo-
nuję w chwilach wolnych od
zajęć świątecznych zastano-
wić się nad problemem na-
stępującym: czy rzeczywiście
luz w obyczajach i wysoka
cywilizacja techniczna na
wzór japoński dają człowie-
kowi szczęście, skoro człowiek
ten musi kogoś opieprzać?

KOMENTATOR

MINI-KABARET PIEKIELKO PRZEDSTAWIA DRAMAT INTERPERSONALNO-ADMINISTRACYJNY PT. SZCZĘŚLIWY POWRÓT

(Miejsce akcji: pulwy nad-
narwiańskie w pobliżu woje-
wódzkiego miasta Łomża,
gdzie krze same a mamory
oraz oczyszczalnia ścieków.
Przy niezbyt wesoło trzaska-
jącym ogniu rachitycznego
ogniska siedzą cztery dobrze
znane nam diabły).

SUPRASKI: — Kuliedzy,
wesółych świąt ja wam ży-
czę!

BUZAŃSKI: — Ejże, od
kiedy to diabły święta świę-
tują jakieś krześcijańskie?

NARWIAŃSKI: — Diabli-
ko z was, jak widzę, mało
postępowe, dzięki czemu wca-
le nie idziecie z duchem cza-
su. Nie wiecie wy o tym, że
teraz tylko silnie wierzących
przyjmują, dajmy na to, do
partii?

BUZAŃSKI: — Ejże, praw-
da to aby?

BIEBRZAŃSKI: — U nas,
w Goniendzu...

SUPRASKI: — Zamilczcie,
diabło rogaty! Albo lepiej
nic w ogóle nie gadajcie! O-
tóż, kuliego Buzański, mu-
szę ja was uświadomić mo-
ralnie, iżebyscie byli na
wszystko przygotowani. Wie-
cie wy, co to jest dialekty-
ka koniunkturalna?

BUZAŃSKI: — Pierwsze
słyszę o czymś takim. Co to,
jakaś gra cyfrowa czy też
nowy komputer wizualny?

NARWIAŃSKI: — Ani jed-
no, ani nawet drugie, tylko
zupełnie trzecie.

SUPRASKI: — Mówiąc ści-
ślej, nawet czwarte.

BUZAŃSKI: — Nie mo-
żecie mówić jaśniej?

NARWIAŃSKI: — Kiedy to
trudna sprawa i nie wiem,
czy będziecie w stanie zro-
zumieć to umysłem swoim
kaprawym.

BUZAŃSKI: — Ja wszystko
rozumiem, nawet i to, dajmy
na to, iż dzisiaj z nas te
same, ale nie takie same
diabły.

BIEBRZAŃSKI: — A u
nas, w Goniendzu...

BUZAŃSKI: — Morda w
kubel i nie przeszkadzajcie!

SUPRASKI: — Otóż i to,
sluszenieście uciżyli wodnego
diabła. A co do dialektyki
koniunkturalnej, to popatrz-
cie, dajmy na to, przed sie-
bie uważnie. No i co widzicie?

BUZAŃSKI: — Prawdę mó-
wić nie, albo zgola jeszcze
mniej nawet.

NARWIAŃSKI: — Ejże, na-
wet żadnych perspektyw
światlanych?

BUZAŃSKI: — To i ow-
szem, ale to przecie całkiem
inna sprawa!

SUPRASKI: — Tak się wam
tylko wydaje. Krótko mówiąc,
żeby nie przeciągać całej
sprawy, omawiana wyżej
dialektyka na tym samym
mniej więcej się zasadza. Kie-
dy trzeba coś zobaczyć, to
się widzi i basta!

BUZAŃSKI: — Nic z tego
nie rozumiem, przyznaję.

NARWIAŃSKI: — Nie wy
jeden, kolego ogoniasty. Sam
nierzastanawiam się nad
tym, czy to ideologia dęba
nam staje, czy dąb ideologii
mamy lekko znużony.

BIEBRZAŃSKI: — A u
nas, w Goniendzu...

(Cdn.)

KRYZYSOWE JEDNO DANIE

kutia lub łazanki bez maku

W związku z praktyczną nie-
możnością zakupu maku na
świąteczno-wigilijne kutio-
łazanki, tradycyjną tę potra-
wę przygotowujemy z kleju
stolarskiego w granulach,
które najpierw musimy jed-

nak nieco rozdrobnić. Dalej
postępujemy już normalnie.
Potrawę wydajemy na stół
wigilijny, kiedy biesiadnicy
najedzą się do tego stopnia,
że będziemy mieli pewność,
iż po nasze łazanki nie sięgną.
GOSPODYN

Nazwano go nawet „polskim Darwinem”, i choć nie miał geniuszu wielkiego Anglika, jego zasług dla nauk przyrodniczych i rolnictwa nie sposób przecenić. Krzysztof Jan Kluk urodził się w 1739 r. w Ciechanowcu, by po ukończeniu szkół pijarskich w Drohiczy nie objąć probostwa w rodzinnym mieście. Tam, aż do śmierci w 1796 r., poświęcił się bez reszty badaniom fauny i flory polskiej. W swoim, wypełnionym mrówczą pracą, życiu napisał pięć dzieł przyrodniczych w trzynastu tomach. Zajmował się botaniką i zoologią, nowoczesnym rolnictwem i ochroną przyrody, hodowlą i weterynarią, pszczelarstwem i mineralogią, a nawet hutnictwem. Jego prace znane były daleko poza krajem. Ten utalentowany samouk z Ciechanowca rzadko wkraczał w wielką teorię; ogromna większość jego prac ma charakter ściśle praktyczny. Źródłem poznania była dlań literatura fachowa, lecz przede wszystkim obserwacja oraz własna praktyka ogrodnicza, połączona z eksperymentowaniem.

Wiele ciekawych i wciąż aktualnych wskazówek znajdujemy w dziełach botanicznych Kluka, który, jak przystało na duchownego, sławi w nich wszystkie dary Boże. Pierwszy biogram Kluka, Szymon Bielski, tak napisał na temat kolekcjonerskich pasji księdza z Ciechanowca: „Z tej długoletniej zbieraliny i pożytecznych przechadzek zrobił kolekcję wszystkich ziół, przyklejając każde na papier”.

Prawie całą swoją wiedzę na temat roślin pracowały proboszcz zawarł m.in. w trytomowym „Dykcjonarzu roślinnym”, w którym „podług układu Linneusza są opisane rośliny nie tylko krajowe dzikie, pożyteczne, albo szkodliwe: na roli, w ogrodach, oranżeriach, utrzymywane: ale i cudzoziemskie, które by w kraju pożyteczne być mogły; albo z których mamy lekarstwa, kórzanie, farby, etc., albo które jakową nadzwyczajność w sobie mają: ich zdolności lekarskie, ekonomiczne, dla ludzi, koni, bydła, owiec, pszczoł, etc.”

Opisał 1536 gatunków roślin, które scharakteryzował zgodnie z wymogami nauk przyrodniczych doby Oświecenia, natomiast dla ich przydatności w gospodarstwie domowym zamieścił wiadomości zebrane z „rozmowy z umiejętnymi i rzecz znającymi” oraz streścił własne obserwacje i eksperymenty. W efekcie otrzymaliśmy wspaniałe dzieło botaniczne, opatrzone zbiorem bezcennych porad, które zawierały wiadomości o hodowli, zbiorze, suszeniu i przechowywaniu wszelkich roślin. Wiele wskazówek praktycznych dotyczyło stosowania niektórych gatunków w chorobie i zdrowiu, w czasie jedzenia, picia, zajęć gospodarskich. Dużo miejsca poświęcił Kluk roślinom używanym przez gospodynie domowe do przyrządzania różnych posiłków i napoi. Wymienia m.in. te, które „chleb smaczny czynią”, „chleb pieczony psują”, „ludziom różne pożywienie” dają, „chmielu niedostatek zastąpić mogą”, „piwo zachowują”, stanowią „napój różny dla ludzi” itd.

W tomie III „Dykcjonarza” jest traktat o winnej latorośli. Autor sam zapewne był wielkim smakoszem i znawcą wina, gdyż wymieniając najlepsze jego rodzaje — ze znanstwem ocenia każde z nich: „wina najprzystojniej podzielić się mogą na hiszpańskie, włoskie, węgierskie, francuskie i niemieckie, do tych przylączają się kanaryjskie i malwazja [...] Hiszpańskie wina nie bardzo nam wprawdzie znajome, są jedne z najstodszych i najtłustszych: rzadko kiedy bywają fałszowane, już dla swej nietrwałości, już dla dalekości przewożenia [...] Włoskie są tłuste, nietrwałe. Między temi najprzedniejsze Lacrima Christi, Muskatelowe, Albańskie, Peruszyńskie, Wernackie i Marcemini. [...] Węgierskie są jedne z najgorętszych i najtrwałszych tak dalece, że bardzo wiele lat trwać mogą, coraz dalej przecież większej nabierają ostrości. Między temi najslawniejsze są Tokajskie. [...] Francja ma wielorakie wina i różne, i można mówić, że najwięcej w Europie się rozchodzą: Szampańskie i Burgońskie mają nieco kwasu [...] Niemieckie wina są bardzo różne, w Austrii, w Tyrolu, w Frankonii i nad Renem. Są pospolicie cienkie, nietrwałe. Między temi przecież najslawniejsze jest Reńskie, które i do innych krajów rozchodzi”.

Doceniając właściwości lecznicze dobrych win Kluk zaleca kurację winną: „pomiarowane użycie tego rodzaju napoju wzmacnia, orzeźwia i zgłodzić się przeciwi”; przypomina jednocześnie, że do tych celów „powinno być wino dobrze wyrożone, cienkie, niegorące, nie fa-

szowane przyprawami, nie siarkowane dla trwałości, nie słodkie zbyt”. Proponuje zatem „kurację” raczej wina francuskie i niemieckie, bo „zawsze są najbezpieczniejsze, a Reńskie nawet słabym pozwala się”.

Przedawkowanie tego lekarstwa jednak „bardzo źle za sobą pociąga skutki: krew rozpala, przytłumia zmysły, czyni ociężałość, naturę rujnuje, soki rozcieńcza zbyt, nerwy i siły duszy przytępia; chorób wielu być może przyczyną”, a także „rzadko który zbytkujący na winie

nistość mocnym tylko osobom, grube nerwy mającym i zimnym”, a to dlatego, że „rozgrzewa i żołądek utwierdza, jest potrzebny do potraw tłustych, wędzonych, a oziębiających, więc „miennie go i nietłuczonego, ale całego zażywać należy. [...] Cały pieprz toż sprawi, co tłuczony, a tłuczony, zwłaszcza miłko, tym jest niebezpieczniejszy, że się w fałdach żołądka i kiszek długo zatrzymuje, i w niektórych okolicznościach zgubić może”. Zaleca pieprz „na wiatry i niestrawność, jeżeli od przeziębienia, osłabienia, i zamulenia żołądka pochodzą”, uważając, że „połknięcie całkiem co rano od 7. do 10. ziaren pieprzu, pewnym są lekarstwem”. Wspomina również, iż „niektórzy pieprzu z gorzalką zażywają na febrę, co „pomogło niektórym, ale też niemało jest takich, którzy tym lekarstwem śmierć sobie kupili”.

Wspominając o roślinach trujących Kluk przestrzega wszystkich przed piciem herbaty. Pisz: „gdyby nam Chiny wszystkie swoje trucizny przestały, nie mogłyby nam tyle zaszkodzić, ile swoją herbatą. Może to być, że w jakim przypadku jest użyteczne; ale częste zażycie owej ciepłej wody osłabia nerwy, i naczynia do strawności służące, soki oraz zbytnio rozwalnia. Dzieciom i młodym osobom zawsze jest szkodliwa”. I konkluduje: „jeżeli liście mogą mieć jakąś skuteczność, zapewne nie tak osobliwą, aby się nie miały należeć nasze ro-

proboszcza ciechanowieckiego udoskonalono, ale niektórzy co bardziej dociekliwi mogą jeszcze teraz wypróbować, np. te, które „sprawę małżeńską wzmacniają”: „Bedłka kulkowa [...] ma zapach nieprzyjem-



ny, wielki. Smak obrzydliwy. Zażycie jej bardzo pobudza do sprawy małżeńskiej. W niektórych krajach dają one krowom, gdy nie mają chęci na byka”; czy też: „paraliżem naruszone członki, tak długo świeżą pokrzywą nacierać kazali, aż się takie czucie pokazało i podobnym sposobem postępowali sobie u pięci męskiej do sprawy małżeńskiej nie-sposobnej”.

Wiele miejsca w „Dykcjonarzu roślinnym” autor poświęcił higienie. Podaje przepisy na sporządzanie balsamów, herbat z rodzimych ziół, oleju, powideł i różnych słodkości. Oto „sposób robienia czekulady prostej, ale najużyteczniejszej”: „upalają się w naczyniu jakim mieszając ziarna kakao, nie przepalając przecież, aby w nich tłustość nie wygubić: obtupią się i utłuką. Do funta ziarn przyda się pół funta tłuczonego cukru: razem zmieszane, albo w moździerzu, albo jeszcze lepiej w kamieniu, na przykład, jakiego malarze potrzebują, postawionym na węglach, rozcierają się jak najlepiej, aż się stanie masa jak masło, bez uczucia w palcach najmniejszej gruczołowatości, wtedy włoży się w foremki blaszane kształt tabliczek mające, ostudzi, i gdy uśnie, wyjmie, do użycia się zachowa. To się ma przestrzegać, aby pod moździerzem, lub kamieniem ciepło tylko wolne było; przez zbyt nie bowiem gorąco, wszystka tłustość mogłaby wyparować.

Nieźle jest, i zdrowiu owszem użyteczne, gdyby się do funta ziarn kakaowych przyda ćwierć funta palonych słodkich migdałów, lecz i miarę cukru nieco powiększyć potrzeba, kto zaś chce mieć czekuladę korzenną, niechaj po utłuczeniu ziarn kakaowych i cukru, przyda do każdego funta ziarn lut cynamonu i strączek wanilii utłuczonych. Jedni czekuladę gotują w winie, drudzy w mleku, inni w wodzie, dla lekarstwa zawsze mleczna jest lepsza”.

„Dykcjonarz roślinny” Krzysztofa Kluka był i jest kopalnią wiedzy nie tylko dla farmaceutów, zielarzy, botaników, rolników, ale również — gospodyń domowych. To też służył wielu pokoleniom Polaków w poznawaniu zalet flory ojczystej. Uczeń także wysoko ocenili pracę ks. Kluka, m.in. Józef Rostafiński, sławny botanik polski, pisał: „Dykcjonarz jest dziełem bardzo zasłużonym i na swój czas znakomitym. Ja sam znalazłem jeszcze ludzi, którzy posługiwali się nim do oznaczania roślin w drugiej połowie bieżącego (tj. XIX — A.J.) wieku”. Myślę, że i teraz badacze Mazowsza i Podlasia, miłośnicy flory polskiej, językoznawcy, historycy oraz pasjonaci i „ciekawscy” chętnie sięgną po dzieło proboszcza z Ciechanowca.

Przygotowała ANNA JARMOLIK

PS. Warto przypomnieć, że w 1974 r. został ustanowiony medal im. Krzysztofa Kluka, przyznawany przez WRN w Białymstoku za wybitne osiągnięcia w dwóch dziedzinach: upowszechnianie postępu rolniczego i ochrona środowiska na Białostocczyźnie; 15 maja 1975 r. udekorowano nim 29 osób i instytucji. Po reformie administracyjnej kraju wszelki słuch po owym wyróżnieniu zaginął. Szkoda byłoby rezygnować z tej formy propagowania dorobku naszego wielkiego krajana, tym bardziej że słowa wyryte na medalu: „Nie masz skarbu większego nad przyrodę ojczystą” — stają się coraz bardziej aktualne. Jeżeli zaniechał go na dobre Białystok, może by Łomża o prawo przyznawania tego medalu powalczyła?



KREW ROZPALA ŻOŁĄDEK UTWIERDZA SPRAWĘ MAŁŻEŃSKĄ WZMACNIA

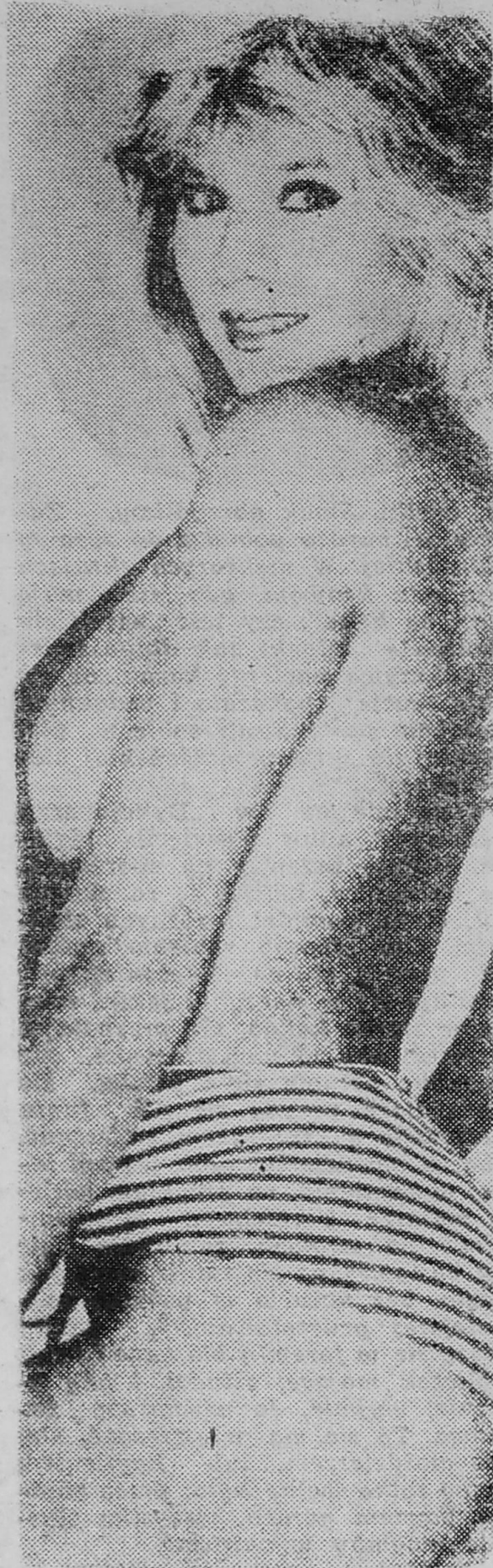
węgierskim jest bez podagry, i częstokroć to nieszczęście przez sukcesję kalectwa dzieciom się zostawuje”.

Dobre gospodynie, zdaniem Krzysztofa Kluka, nie powinny natomiast przesadzać w stosowaniu pieprzu, ponieważ „pieprzu skutki są gwałtownie krew rozpalające”. Jednocześnie doceniając jego zalety instruuje: „jego wielką ostrość i og-

liny, któreby się im zrównały, a może jeszcze i przewyższały”.

Upodobania Kluka często różnią się od gustów ludzi nam współczesnych, ale należy pamiętać, że od spisania tych porad minęło 200 lat (I wydanie — w latach 1786—1788). W związku z gwałtownym rozwojem nauk przyrodniczych w XIX i XX wieku wiele przepisów



Samantha
i ciało

Samantha Fox należy obecnie do najpopularniejszych modelek. Ostatnio próbuje nawet śpiewać. Sama o sobie mówi:

— Nie lubię określenia „dziewczyna z trzeciej strony”, czyli ta ciągle stojąca w tle. Wolę, jeśli ludzie mówią o mnie dziewczyna z plakatu. Inne określenia dają do zrozumienia, że wszystko, co robię i co osiągam, dzieje się za sprawą mojego biustu, a przecież pozowanie fotografom to tylko dwie godziny tygodniowo. Uważam więc, że krytykowanie dziewcząt pozujących do zdjęć reklamowych jest nieuzasadnione, bo w końcu jest różnica między ekshibicjonistką a dziewczyną pozującą tylko do zdjęć artystycznych. Otrzymuję tysiące listów od moich fanów, którzy piszą, że moje zdjęcia sprawiają im radość, przez co, jak twierdzą, „rozjaśniam ich smutne dni”. Cieszę się więc, że komuś mogą sprawić radość i przyjemność.

Niedawno piękna Samantha zwierzyła się dziennikarzom na temat swojej kariery:

— Zgarnęłam mnie na ulicy sprzed szkoły i zawieźli prosto do studia „Page 3”. Zadzwoiłam stamtąd do rodziców i zapytałam, czy mogę pozować fotografom. Uważali, że to świetny pomysł. Nie wyobrażałam sobie, że mogę zostać królową „The Sun”, gdy jednak weszłam do studia, fotograf powiedział mi, że pewnie nie puszcza moich zdjęć, bo mam dopiero 16 lat. Ale jakoś przeszło i już następnego dnia duże zdjęcie na trzeciej stronie tygodnika oglądali wszyscy. Tak zaczęła się moja kariera.

— Czy swoje ciało traktujesz jako obiekt przetargu...

— Oczywiście, to przecież mój kapitał. Dzięki niemu zrobiłam karierę modelki, a teraz robię karierę jako piosenkarka.

— Czy to znaczy, że nie miałaś nigdy kłopotów ze swoim ciałem?

— Oczywiście, miałam. Gdy skończyłam 14 lat, zaczął mi rosnąć w zastraszającym tempie biust. Bardzo się tego wstydziłam. Nie wiedziałam, co robić, unikałam lekcji gimnastyki, ale gdy zorientowałam się, że coraz więcej chłopców ogląda się za mną, przestałam myśleć o swoim kompleksie. Przekonałam się wtedy, że duży biust nie zawsze musi być przekleństwem.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że wielu mężczyzn chciałoby mieć cię na własność?

— To chyba normalne, jeśli kobieta podoba się mężczyźnie. Oni mają frajdę oglądając moje rozebrane zdjęcia, ja zaś — do nich pozując. I dlatego będę nadal pozwałała się fotografować.

rock serwis

Tina Turner nagrała nową płytę, zatytułowaną „Break Every Rule”. Piosenkarkę towarzyszą m.in. Phil Collins i Steve Winwood, zaś autorem jednego z utworów jest David Bowie. Producentami nagrań są Mark Knopfler i Bryan Adams. Tina Turner mówi o swoich piosenkach: „Nie ma wśród nich ani jednej, z którą nie mogłabym się identyfikować. Wszystkie one są częścią mojego osobistego życia”.

Bob Dylan powraca na ekrany kin w filmie Richarda Marquanda „Hearts Of Fire”. Zagra on rolę emerytowanego piosenkarza związanego z brytyjską gwiazdą rocka oraz pomagającego w karierze piosenkarce amerykańskiej.

Z pięcioletnim opóźnieniem Krzysztof Krawczyk otrzymał złotą płytę za nagraną dla „Wifonu” album „Good Old Rock'n'roll”.

Oczekiwana od dawna druga płyta Cyndi Lauper nosi tytuł „True Colours”.

„Leather Jackets” to tytuł nowej, dużej płyty Eltona Johna, która powstała w Wisseloord Studio w Hilversum (Holandia). Producentem krążka jest Gus Dudgeon, który także miksował nagrania. Wszystkie utwory, z wyjątkiem trzech, są autorstwa Eltona Johna i Bernie Taupina. Elton zaprosił do współpracy przy nagrywaniu płyty tak znanych muzyków jak Cliff Richard, Roger Taylor, Kiki Dee i Shirley Lewis.

Brygida Czernota — tak nazywa się nowa gwiazda polskiej piosenki. Wokalistka, która współpracowała przez pewien czas z zespołem „Fiesta”, nagrała niedawno LP w studiach „Polskich Nagrań”. Materiał przygotowywany jest na płytę, która ma ukazać się w kraju oraz w Wielkiej Brytanii. W realizacji nagrań uczestniczyli m.in. Jan Borysewicz, Stanisław Sojka, bracia Scierafscy i Marek Surzyn.

STING
i co dalej?

Niedawno jeden z zachodnich tygodników opublikował rozmowę z popularnym wokalistą, liderem zespołu „Police” — Stingiem. Oto jej fragmenty.

— Czy istniejecie jeszcze jako zespół?

— Oczywiście, nigdy nie pomyśleliśmy, że możemy przestać istnieć. Wielu uważa, że jeśli występuję solo, to pewnie nie będę już w to sa-

mo bawił się z zespołem, ale każdy ma przecież jakieś ambicje i coś chce w życiu osiągnąć. Ja chciałem spróbować kariery solowej. Udało się, co nie znaczy, że miałbym rezygnować z pracy w zespole, w którym robiłem karierę i w którym zdobyłem jakieś doświadczenie. Gdyby nie „Police”, nie wiem, czy moje życie wyglądałoby tak jak teraz.

— Mówi się, że niebawem ukaze się płyta „Police”.

— Myślę, że powinno się stać to jeszcze w tym roku. Myśleliśmy, żeby był to album przypominający nasze największe hity, ale jakie znajdują się tam piosenki, tego jeszcze nikt z nas nie wie. Chcielibyśmy zagrać kilka starych i sprawdzonych przebojów. Potem spróbujemy zrobić coś nowego. Co jednak z tego wyjdzie, okaże się po opuszczeniu studia.

— Czy myślicie o wspólnych koncertach?

— Tak naprawdę jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. Każdy z nas ma zbyt wiele swoich spraw, by się nad tym zastanawiać.

— Czy jesteście nadal przyjaciółmi?

— Jak to między ludźmi bywa, współpraca w zespole układa się różnie. Niekiedy dochodzi do kryzysu, ale wspólna praca zawsze sprawiała nam ogromną przyjemność. Nie mógłbym myśleć inaczej o moich kolegach z „Police” jak tylko o przyjaciółach.

Marek Rogowski i Andrzej Tomanek — dwóch młodych, ciągle roześmianych i dowcipkujących ludzi. Bardziej znani są w północno-wschodnim regionie kraju niż w rodzinnej Warszawie, gdzie zamieszkują, pracują i występują w kabarecie. Nagrali kilka piosenek dla radia, pokazali się w telewizji, przygotowują nowe utwory i nowy program.

KRZYSZTOF KURIANIK: — Nietawo chyba zostać artystą kabaretowym?

MAREK ROGOWSKI: — To prawda. W naszym przypadku wszystko zaczęło się od spotkania z Andrzejem Zaorskim, to było nasze przed-szkole, nauczyliśmy się wszystkiego od początku, jak stać na scenie, jak mówić do mikrofonu, kiedy zrobić gest ręką, a kiedy minę...

ANDRZEJ TOMANEK: — Nie wierzyliśmy, że zostaniemy na estradzie na stałe. Na początku myśleliśmy tylko o przeżyciu, pewnej przygody. A stało się całkiem inaczej.

M.R.: — Czas na naukę minął jednak bardzo szybko i kiedy Andrzej wyjechał na koncerty do Stanów Zjednoczonych, musieliśmy radzić sobie sami. Poszliśmy więc na całego i jakoś się udało; zostaliśmy zaakceptowani przez publiczność, a to przecież jest najważniejsze.

A.T.: — Chociaż pierwsze imprezy były fatalne. Stawiając swe pierwsze kroki na estradzie byliśmy zdani wyłącznie na siebie, chociaż pomagali nam trochę wcześniej poznani ludzie z tzw. branży.

— Wystartowaliście najpierw na Festiwalu Piosenki Studenckiej; i to nawet o powodzeniu, bo zdobyliście nagrodę dziennikarzy, potem zaś przyszła Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu.

M.R.: — Wyściliśmy tam na idyotów, bo wyobraźcie sobie, przyjeżdża dwóch facetów z gitarą, śpiewają jakieś trywialne piosenki, a okazuje

się, że wszystko wcześniej jest już obstarwione.

A.T.: — Za każdym ktoś stał, czyli większość z tzw. debiutantów miała już wiele rzeczy pozatwarynych. A my? Nikogo nie znaliśmy, na nagrody nie liczyliśmy, ale byliśmy w tej dobrej sytuacji, że zostaliśmy polubieni zarówno przez

wanie, kontakty z publicznością i całą tę zabawę w kabaret. Przed podjęciem decyzji zostania artystą próbowałem coś tam pisać; pisałem nawet książkę, ale jak zorientowałem się, że jest to beznadziejna sprawa, bo na jej wydanie musiałbym czekać wiele lat i też nie zawsze mógłbym się jej doczekać,

• RÓŻOWE ŚWINKI •
— czyli życie w duecie

wykonawców, jak też przez publiczność.

M.R.: — Po prostu nikomu nie zagadaliśmy.

— W takim razie dlaczego zostaliście o tym głośni?

M.R.: — Jest to jedyna możliwość jedzenia po Polsce i poznawania ciekawych ludzi, a my to bardzo lubimy, poza tym polubiliśmy

wołałem spróbować napisać coś do kabaretu, coś, co by ludzi bawiło, śmieszyło. Z czegoś też trzeba było żyć.

— A jak się rodzą pomysły, bo nie sądzę, żeby same przychodziły do głowy?

A.T.: — Przynosi je samo życie, rodzą się też z zapotrzebowania publiczności.

M.R.: — Na przykład piosenka „Zuljet” powstała, gdy słuchaliśmy piosenki o dziewczynie, która nazywała się Margot, i która o określonej porze karmiła piersią swoje- go kota. Wtedy zbiegała się pod jej okna cała wieś, by podziwiać wspaniały biust dziewczyny. Bardzo nam się to spodobało i postanowiliśmy zrobić coś swojego. W tym przypadku inspiracją do powstania „Zuljet” była twórczość Brassena, ale w większości pomysły same trafiały do głowy.

— Seks zajmuję w waszej twórczości wiele miejsca.

A.T.: — Bo jesteśmy zwolennikami teorii Freuda, poza tym jesteśmy normalnymi mężczyznami. Podobają nam się kobiety i my im chyba też.

— A co planujecie dalej, czy przygoda z estradą jest zajęciem na dłużej?

M.R.: — Chcemy przede wszystkim wypracować sobie jakąś pozycję na rynku. Zdobyć trochę doświadczenia, scenicznej oglądy, poznać mechanizmy rządzące naszym show-businessem i dopiero potem myśleć poważnie o karierze artysty.

A.T.: — A póki mamy jeszcze siły i chęci, chcemy się trochę w tych artystów pobawić.

— Ale rzadko gościście w radiu i w telewizji, które przede wszystkim dają młodemu artyście furtkę do dorosłego, artystycznego życia.

M.R.: — Zawsze mieliśmy złych menadżerów i zawsze na tym tracimy. Sami musimy się dobrać o wiele rzeczy, załatwiać, prosić, dzwonić... A to powinien robić człowiek, który dostaje za to pieniądze. I tak udało się jakimś cudem, że kilka piosenek nagraliśmy i ukazały się one nawet na antenie.

A.T.: — Teraz też jesteśmy sami, ale jakoś sobie radzimy. Cóż, taki los artystów, zwłaszcza młodych.



wampirka



Młoda, piękna węgierska szlachcianka, hrabina Elżbieta Batory, która żyła na przełomie wieków XVI i XVII, wstąpiła się makabrycznymi zamilowaniami. Po okolicy podróżowała w czarnej karocy, porzywała nocą piękne dziewczęta i zawoziła je do swojego zamku. Po zgwałceniu ofiar wieszała je na tańcach przykutych do ścian lochu i puszczała im krew, w której się kąpała albo ją pila. Kiedy dziewczyna słabła, hrabina uśmiercała ją przez ugryzienie się w jej żyłę szyjną.

Pogłoski o praktykach hrabiny Batory skłoniły króla Węgier, Macieja Drugiego, do wszczęcia śledztwa, które doprowadziło do procesu. Sąd uznał ją winną zamordowania 600 młodych kobiet. W 1614 roku zamurowano Elżbietę żywcem, a jej pomocników, poddawanych wpród torturom, spalono na stosie. Zbrodnie hrabiny uznano za tak odrażające, że proces trzymano w tajemnicy, a historia ta stała się znana dopiero wówczas, gdy pewien jezuita znalazł akta procesu w budapeszteńskim archiwum. (Fot. CAF)

zagadki biblijne

Dlaczego Adam żył tak długo?

● Bo nie miał teściowej.

Kto za jednym zamachem zgładził 1/4 ludzkości?

● Kain.

Jakie stworzenie nie znalazło się w Arce Noego?

● Ryba.

Dlaczego szczęściem Żydów było to, że Mojżesz się jękał?

● Bo gdyby mówił normalnie, podwoiłby ilość przykazań i zakazów.

Co robi pobożny człowiek przed wypiciem herbaty?

● Otwiera usta.

w zdrowym ciele
zdrowy duch

2500 lat temu Hipokrates głosił, że ludzie zdrowi i silni fizycznie odznaczają się zazwyczaj dobrym samopoczuciem, a ci słabe go zdrowia częściej bywają w złym nastroju. Współczesna medycyna podjęła myśl Hipokratesa i zbadała mechanizmy wzajemnych związków między zdrowiem fizycznym i duchowym.

Ludzie w ciągu całego życia znajdują się we władaniu pozytywnych i negatywnych emocji. Po swych przodkach odziedziczyli nierozłączną więź między emocjami a aktywnością ruchową. Silne emocje negatywne pomagają napadnąć na wrogów lub ratować się przed nimi ucieczką. Współcześni nie mogą sobie z reguły pozwolić na podobne reakcje, co narusza w nich biologiczną harmonię, prowadzi do stresów, neuroz i innych chorób.

Jeśli w sytuacjach stresowych nie można dać ujścia biologicznym instynktom, należy pomyśleć o innej możliwości: świadomego obciążania mięśni. Profilaktyczne i lecznicze oddziaływanie ruchów powoduje powstanie w mózgu nowego ogniska podniecenia. Pobudzenie z niego płynące rozszerza się na sąsiednie obszary mózgu, tłumiąc ogniska depresyjne, powstałe w wyniku silnych emocji negatywnych.

Argumentem przemawiającym za sprawnością fizyczną mogą być przykłady historyczne, świadczące o tym, że siła nie jest przeciwstawna rozumowi. Gdyby tak było, mistrz olimpijski w boksie, Pitagoras, nie zostałby wielkim matematykiem, a znakomity zapaśnik Platon nie pozostawiłby śladu w filozofii klasycznej. Lomonosow, Tolstoj, Pawłow — geniusze rosyjskiej nauki i sztuki — byli ludźmi o nieprzeciętnej sile fizycznej, a Bayron, London i Hemingway boksowali nie gorzej od pięściarzy profesjonalnych.

Ale znaczenia mięśni dla pracy umysłowej nie można doprowadzać do absurdu. Najdoskonalsze ćwiczenia fizyczne nie przydadzą wiedzy i rozumu, a najlepsze sportowe urządzenia nie zastąpią książki.

seks po chińsku



Wychowanie seksualne jest dziedziną, którą chiński resort zdrowia zaniedbał i której młodzi ludzie świadomie unikają, ulegając presji przestarzałych poglądów — stwierdza szanghajski dziennik „Jiefang Ribao”. Brakowi wiedzy o seksie towarzyszy niechęć do jej zdobycia, co kończy się niekiedy fatalnie: oto w noc poślubną mąż wyrzucił z okna na czwartym piętrze świeżo poślubioną małżonkę, a potem wyskoczył sam. Ona przeżyła, on — nie. A przyczyną tej tragedii była odmowa wdzięków mężowi, ponieważ żona uważała, że to godzi w jej cześć. A tak w ogóle to nie wiedziała, o co mu chodzi.

Inny osobliwy przypadek, za to bardziej humorystyczny: oto do poradni zgłosił się pewien nauczyciel, od 2 lat żonaty, który zamartwiał się bezpłodnością swej żony. Gdy lekarz, wiedziony przeczuciem, przeprowadził dokładny wywiad z pacjentem, wyszło na jaw, iż owa para nie miała najmniejszego pojęcia o życiu seksualnym i wcale go nie uprawiała, a możliwość zajścia kobiety w ciążę upatrywała wyłącznie w fakcie dzielenia przez mężczyznę i kobietę łoża. „Myśleliśmy — mówił lekarzowi pacjent — że molekuły, z których powstaje człowiek, same przemieszczają się z jednej osoby do drugiej.” (Fot. CAF)

tort
ze
śliwkami

Produkty: 20 dkg mąki, 10 dkg cukru, 10 dkg masła; składniki masy: 20 dużych suszonych śliwek, 15 dkg sera, 10 dkg cukru, 3 jaja, 2 łyżki masła, paczka cukru waniliowego.

Sporządź kruche ciasto z mąki, cukru i masła; podpieć je w tortownicy na jasnożółty kolor. Śliwki namoczyć w wodzie na 24 godziny, po czym przekroić na pół, wyjąć pestki i ułożyć na wystudzonym cieście. Ser przepuszczony przez maszynkę do mięsa uciarać z żółtkami, cukrem, masłem i cukrem waniliowym tak długo, aż masa będzie miała wygląd śmietany. Wówczas dodać pianę z białek, lekko wymieszać i pokryć masą śliwki. Wstawić do piekarnika i piec do lekkiego zrumienienia sera.

telewizor lepszy

W ankiecie przeprowadzonej wśród amerykańskich dzieci w wieku 4-6 lat na pytanie: „Kogo wolisz, tatę czy telewizor?” — 44 proc. ankietowanych odpowiedziało, że telewizor.

SWAWOLNIK

Kazali wilkowi owieczek pilnować i... robi to całkiem dobrze. Od 2 lat nie było wypadku zginienia owcy, a przedtem zdarzało się to często. Ale wilk, który strzeże kirgiskiego stada, trzymany jest w solidnej klatce.

whisky

Około 1500 roku Szkoci i Niemcy niemal jednocześnie do produkcji alkoholu zastosowali zboże. Szkoci, a później Irlandczycy pomysł ten zrealizowali szczególnie udanie.

Zanim napój przerodzi się w whisky — jęczmieniowe ziarno musi zakiełkować. Potem suszy się je nad ogniem z torfu, miesza z gorącą wodą i czeka, aż sfermentuje w piwny napój. Destyluje się w miedzianych kolbach dwu-, trzykrotnie. Ale to jeszcze nie koniec! Whisky musi poleżakować w beczkach co najmniej dwa lata. Używa się beczek tylko takich, w których wcześniej leżakowało wino, sherry lub koniak.



pierwsze odciski

W czerwcu 1902 roku skazano pierwszego na świecie oskarżonego na podstawie odcisków palców. Był nim Harry Jackson, złodziej kul bilardowych (Fot. CAF)

gdy zwierzęta
zaczynają mówić

KROWA: — Kobieto, wydołaj mnie tak, że aż masło ze mnie wyszło!

PIES: — Szczęśliwy jestem, mój panie, że mogę cię przywołać: „Pan, pan!”, tak jak ty mnie wołasz: „Piesek, piesek!”

KON: — Kiedy będzie pierwsza gonitwa w wyścigach ludzkich?

LEW: — Dajcie mi adres tej myszy, co ugryzła mnie w ogon, gdy byłem chory!

INDYCZKA: — W jakiej aptece sprzedają maść, co leczy pęgi na jajach?

ZAJAC: — Zjadłbym myśliwego z oliwkami!

KOBYŁKA: — Chciałabym mieć powóz z dwoma gniadymi woźnicami...

KROKODYL: — Psst, panienko? Nie chciałybyś mnie ponosić w charakterze torebki?

KANAREK: — Jestem sobie żółtkiem i śpiewam trele!

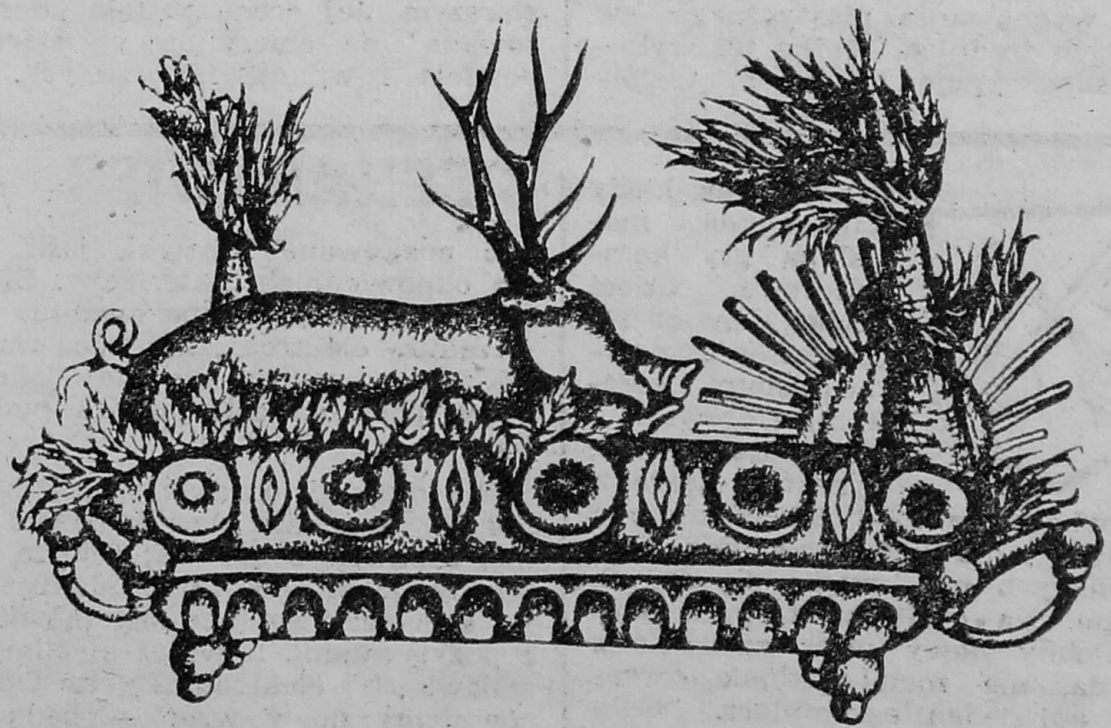
PAW: — Jestem, panie dzieju, herbowym indykiem!

WIEPRZ: — Ja żyję dla innych!

HIENA: — A ja jestem psem, co nie ukończył podstawówki!

PSZCZOŁA: — No, teraz, gdy umiemy mówić jak ludzie, dopiero będziemy żądliwi!

(TUDOR MUSATESCU: „URIZA”)



PSYCHOLOGIA MĘSKIEJ DIETY

Zatroskanym o przewagę swoich mężów żonom przypomina się, by:

* często, acz niedbałym tonem, przypominały, że po męskim wyglądzie, którym zdobył ich uczucie, zostało wspomnienie w szafie;

* przeszły guziki w koszulach i marynarkach tak, aby zrobiły się za ciasne;

* przejrzały swetry i ulubione kurtki męża, a przy każdej rzeczy wygłaszały zdanie: „Przecież ty już w to nie wejdiesz”;

* podawały posiłki na małych talerzach, bo na nich i najmniejsza porcja wygląda okazała;

* unikały rozmów o dietach-cud, bo to może przynieść odwrotny skutek.

Rys. Jacka Urbasńskiego.

wafel
stragan

wieści grodzkie



Wielkie spółdzielnie mieszkaniowe stały się nieruchawymi kolosami, ale okazuje się, że nie pozabawione są zalet. Koszty eksploatacji są w nich niższe, łatwiej im

o tereny uzbrojone, posiadają własne służby nadzoru inwestycyjnego. Tymczasem małe spółdzielnie mają z tym masę problemów.

BOGUSŁAW MAREK CHOJNOWSKI, prezes Spółdzielni Mieszkaniowej w Stawiskach: — Majątek naszej Spółdzielni stanowi jeden budynek 12-rodzinny. Od 1977 roku trwa przygotowanie do budowy następnych, na 115 mieszkań. Inwestorem zastępczym naszej spółdzielni jest WZSM, lecz trudno uzyskać tam jakąkolwiek informację, zwłaszcza w Zakładzie Usług Inwestycyjnych, o stanie przygotowań do budowy naszego osiedla. Nie bez wpływu na tę sytuację są zmiany dokumentacji — raz, kiedy wysokość budynków podwyższono z trzech do czterech kondygnacji, to znów, gdy architekt dopatrywał się, że bloki będą ustawione za blisko budynków gospodarczych. Przeciaga się też zatwierdzenie nowego planu przez architekta wojewódzkiego. W tym roku musimy rozpocząć finansowanie budowy, gdyż w innym wypadku bank zamknie nam konto. Musimy też zaciągnąć kredyt, aby zacząć spłacać wcześniej wziętą pożyczkę w wysokości 2,6 miliona zło-

STAWISKI

tych, którą przeznaczyliśmy na przygotowanie dokumentacji. Pociągam się tym, że w momencie, kiedy podejmujemy starania o notarialne przejęcie gruntów pod budowę, bank potraktuje to jako jej rozpoczęcie i udzieli kredytu.

Nie ma też jasności co do sposobu zasilania kuchni w naszych budynkach. W pierwszej wersji projekt przewidywał butle gazowe, ale ponieważ okazało się, że nie otrzymamy na nie przydziału, projektant zamienił je na kucharki elektryczne. Kiedy znów w dokumentacji znalazła się zmiana wysokości budynków, zgoda na instalowanie kucharek elektrycznych została cofnięta. Później uzyskaliśmy akceptację na ich wstawienie, ale tylko do drugiego piętra włącznie. Co z kuchniami na trzecim piętrze? Mamy nadzieję, że do tego czasu zostanie zbudowany gazociąg do Łomży i łatwiej będzie o przydział butli z gazem.

Jeszcze tylko jeden budynek może być podłączony do istniejącego osadnika. Przy następnych wymagana byłaby już oczyszczalnia, niestety, nie ma takiej w Stawiskach.

Mamy w tej chwili 36 członków ze zgromadzonym pełnym wkładem. Gdybyśmy wznowili zapisy, na pewno zgłosiliby się jeszcze co najmniej sto rodzin. Nie możemy jednak zapisywać chętnych nie wiedząc, kiedy i ile mieszkań zbudujemy.



Mieszkańcy miasta przyzwyczaili się już do nowego, ciągle jednak pustego, budynku przy ulicy Wojska Polskiego. Były projekty, aby urządzić w nim szkołę czy przedszkole, ale ostatecznie zapadła decyzja, iż będzie restauracja. Lokal jest jeszcze nieczynny, a już nie brak głosów krytycznych. Niekłórnym nie przypadła do gustu choćby wielkość okien, umożliwiająca dostrzeżenie przez przechodniów każdego zdecydowanego na miarkę czegoś mocniejszego. Szczególnie dogodne pole do obserwacji klienteli restauracji będą mieli pracownicy przedsiębiorstwa melioracyjnego, którego biurowiec znajduje się po drugiej stronie ulicy. Kierownictwo lokalu ze zrozumieniem przyjmuje te uwagi. Dyskrecję mają zapewnić firanki i zasłony. Przed budynkiem zasadzi się też drzewa i krze-

GRAJEW

wy, aby umilić jego otoczenie. Pracownicy lokalu grudeń wykorzystają na porządkowanie. Ściany w salach konsumpcyjnych wyłożone są drewnem, sufity zaś kasetonowe. Intymność wnętrza ma przydać zieleni. Na początku grudnia nie było jeszcze wiadomości, którą kategorię otrzyma lokal, ale ambicją obsługi jest, by — w razie uzyskania „jedynki” — nie była ona tylko z nazwy. Szef kuchni i zastępca odbyli szkolenie w restauracji w Bielsku Białym. Pozostały personel też był, albo zostanie, specjalnie przeszkolony. „Chrzest bojowy” nastąpi podczas tegorocznego Sylwestra — zaplanowany został bal na sto osób. Główne atrakcje przewidziane są w jadłospisie — mają być łososie, węgorze, drób, wędliny własnego wyrobu. Chyba nie będzie próżnowała orkiestra, muzycy za wieczór zażyli sobie 60 000 złotych. Natomiast opłata od pary wynosi 11.000.



Na ostatniej sesji MGRN-u wśród zakładów drobnej wytwórczości wymieniona była też Spółdzielnia Przemysłu Ludowego i Artystycznego. Wspomniał też o eksporcie

stołeczków. Czy to szczyt możliwości niele wyposażonego, nowego zakładu?

FRANCISZEK NOWOWIEJSKI, prezes Zarządu Spółdzielni: — Przed kilkoma dniami mieliśmy spotkanie środowiskowe przedstawicieli zakładów zrzeszonych pod szyldem „Cepelii”. Był też obecny przedstawiciel Biura Handlu Zagranicznego. Powiedział nam, że są problemy ze sprzedażą na Zachodzie tych wszystkich wyrobów, które kojarzą się z polską kulturą narodową. Trudno mi dyskutować z tym poglądem, znam jednak trudności ze sprzedażą produkowanych u nas zdyli kurpiowskich. Stołeczki eksportujemy, gdyż ich wzór dostarczył nam odbiorca z RFN-u. Moglibyśmy wytwarzać ich dwukrotnie więcej, gdyby nie brakowało drewna. Nie wiem, jak to się dzieje, że przedsiębiorstwa, zobowiązane do zaopatrywania nas w drewno, wolą eksportować tarcicę niż dostarczyć ją nam, też przecież po-

ZAMBRÓW

trzebną do produkcji eksportowej. Teoretycznie mamy możliwości zaopatrywania się, podobnie jak firmy polonijne, u właścicieli prywatnych lasów. Nie ma zakazów prawnych, a tylko bariera psychologiczna. Pierwsza kontrola właśnie ten zakup będzie szczególnie dokładnie sprawdzała. W tym względzie mamy nie najlepsze doświadczenia, raz bowiem dokonaliśmy takiego zakupu. Całe szczęście, że 80 proc. naszych wyrobów wytwarzamy z płyt wiórowych, o które ostatnio łatwiej. Wszyscy wiedzą, że mebli w kraju nie brakuje. Aby nie zapelniać magazynów, chwytamy się różnych sposobów: często zmieniamy asortyment, myślimy o obniżce cen. Niewiele możemy jednak wskórać, jeśli w cenie detalicznej komody 4-szafkowej (9550 złotych) nasz zysk stanowi 304 złote, a podatek obrotowy przekracza 2300 złotych.

Za niezbędne uważamy unowocześnienie zakładu, już modernizowana jest lakiernia, zamierzamy zbudować magazyn płyt, sklejek i materiałów łatwopalnych. Złożyliśmy wniosek do Urzędu Wojewódzkiego o dotację z funduszu na popieranie rozwoju drobnej wytwórczości. Nie ma nań, jak dotąd, odpowiedzi. Zapewne będziemy musieli poradzić sobie sami.



W miasteczku nie brak interesujących obiektów, położone są jednak tak, że umykają uwadze przejeżdżających tędy trasą przelotową na Mazury. Na uwagę zasługują

m.in. księgarnia, zlokalizowana w odrestaurowanej kamieniczce. Znaleźć można w niej książki, których gdzie indziej szuka się bezskutecznie. Przed kilkoma miesiącami informowaliśmy o jej bogatych zasobach, zwłaszcza słownikowych. Przed świętami, w okresie wzmogionych zakupów, także prezentów gwiazdkowych, zajrzeliśmy tam ponownie. I tym razem nie spotkał nas zawód. Do kupienia są: „Tworzywo” Melchiora Wańkowicza, „Pięć tygodni w balonie” Julesa Verne'a, pierwszy zeszyt „Pamiętnika pani Hanka” Tadeusza Dołęgi Mścowskiego. Nie brakuje lektur: „Bartek Zwyczajca” Henryka Sienkiewicza, „Rozdział o nas króli, wróć” Stefana Żeromskiego. Dostępne są także „Dzieje sztuki powszechnej”, pomyślane jako podręcznik dla nauczycieli wychowania plastycznego w szkołach średnich. Można też wykupić subskrypcję na osiem tomów

SZCZUCZYN

przypadków Tomka Wilmowskiego, opisanych przez Alfreda Szklarskiego; talon kosztuje 600 złotych. Są też jeszcze talony na „Dzieła wybrane” Juliusza Słowackiego. Cały regał zajmują podręczniki i zbiory zadań z zakresu przedmiotów ścisłych. Studenti, kandydaci na studia fizyczne, matematyczne, politechniczne w czasie przerwy świątecznej powinni przejrzeć zasoby księgarni, zwłaszcza że dostęp do półek jest swobodny. Wciąż sporo jest słowników dwujęzycznych: duży i mały francusko-polski i polsko-francuski, hiszpańsko-polski i polsko-hiszpański, kilka opracowań słowników rosyjsko-polskich.

Nie sposób nie wspomnieć o cenach książek, np. „Atlas samochodowy Europy”, w sztywnych okładkach, kosztuje 800 złotych, reprodukcje malarstwa Stanisława Ignacego Witkiewicza — drukowane co prawda w Jugosławii — 2800. Uchodząca ostatnio za bestseller „Encyklopedia Seniora” zawiera informacje o chorobach, psychologii, porady prawne przydatne osobom starszym. Jej ocena została „dostosowana” do emerytury ze starego portfela i wynosi 1350 złotych.

CIECHANOWIEC

być opakowane zabawki, jeśli nie ma odpowiednich materiałów. Efektowne nadruki na opakowaniu do strzelniczy elektronicznej tracą wszystkie swe walory, bo zły jakości farba pęka na załamaniach pudełka.

Nie możemy obrażać się na handel za to, że nie chce kupować od nas zabawek z drewna. Dobrze też wiemy, jakie zabawki produkuje się na świecie: ruszające się, mówiące, z pozytywkami. Również myślimy o zabawkach elektronicznych. Opracowujemy nowy wzór — będą to dziecięce organy elektroniczne. Można będzie bawić się nimi, ale i nauczyć się grać, jak na prawdziwym instrumencie. Obawiamy się jednego, że będą za drogie. „Wsad” elektroniczny będzie kosztował 10—12 tysięcy złotych. Choć może moje obawy są nieuzasadnione, handlowcy lubią sprzedawać mało, ale drogo.

Z szyldu wynika, że specjalizujemy się w produkcji zabawek. Naprawdę jednak utrzymujemy się z kooperacji z zakładami elektronicznymi.



Jakie nadzieje wiążą spółdzielcy z grudniowym zjazdem spółdzielczości mieszkaniowej w Warszawie?

TADEUSZ KOZŁOWSKI, prezes Zarządu Spółdzielni: — Wiem, że krytykowana jest ostatnia zmiana przepisów, dotyczących przyspieszenia przydziału mieszkań. Czy będą kolejne zmiany, zobaczymy. Nas najbardziej interesują miejscowe problemy. Od dwóch lat ciągnie się przekazywanie Wojewódzkiemu Przedsiębiorstwu Energetyki Ciepłej kotłowni. Po każdym spotkaniu kontrahent zgłasza kolejne warunki. Uporządkowaliśmy kotłownię, przekazaliśmy WPEC-owi pół zaplecza, po żądaniu pomalowania kolumny z własnej inicjatywy pomalowaliśmy oba, lecz, jak się okazuje, to jeszcze nie zadowala kapryśnego partnera, który, zdaje się, oczekuje, byśmy wykonali wszystkie roboty inwestycyjne tak, żeby nic nie musiał wydawać z własnej kieszeni. Wycofalibyśmy się z tej całej zabawy, gdyby obowiązywały inne zasady zaopatrywania w węgiel. WPEC otrzymuje bezpośrednie dostawy węgla, my musimy kupować go w Gminnej Spółdzielni. Ostatnio zaofiarowano tam, zupełnie nie nadając się do naszych pieców, miał

WYSOKIE MAZOWIECKIE

Dziwić mogą te korowody, gdyż w rzeczywistości WPEC jest równie zainteresowany przejęciem kotłowni. Choćby z tego powodu, że w Wysokim planowana jest budowa dużej ciepłowni, o mocy 30 gigakalorii, i po jej uruchomieniu nie znajdzie z dnia na dzień pracowników do obsługi, mimo że jest to jeszcze dość odległa sprawa. Dokumentacja wprowadzie ma być gotowa na wiosnę przyszłego roku, lecz uruchomienia nie można spodziewać się wcześniej niż po 1990 roku. Rezerwa mocy dwóch naszych kotłowni wystarczy jedynie do ogrzania jeszcze jednego budynku. Grozi nam więc zahamowanie budownictwa mieszkaniowego w mieście, co spowodowałoby sporo niezadowolonych, nie wywiązałybyśmy się wówczas także z zobowiązania wobec członków brygady młodzieżowej, która pomaga przy wnoszeniu bloków spółdzielczych. Szansy podreperowania sytuacji upatrujemy w powstającej ciepłowni przyszpitalnej. Niestety, niepokoi tempo prowadzonych tam robót. Zbudowany został — co prawda — główny budynek, ale nie są instalowane maszyny.

wieści gminne

BOGUTY. Niezależnie od innych opinii faktem jest, że ciechanowieckie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego zdążyło już sobie wyrobić dobrą markę. Szybko i sprawnie jego pracownicy zabrali się do roboty wykończeniowych w rozbudowywanym budynku Urzędu Gminy. Warto dodać, że wcześniej nie doszły do skutku, mimo że zostały podpisane, trzy umowy z rzemieślnikami na wykonanie tych prac.

■ Ciągłe świeże pustkami ośrodek zdrowia. Miejscowi chcieliby, aby część pomieszczeń przeznaczyć na mieszkania przynajmniej do czasu, kiedy zostanie wzniesiony blok mieszkalny dla lekarzy. ZOZ na to nie wyraża zgody i póki co lekarze dojeżdżają, ale tylko na papierze, np. powinien odbywać dyżury ginekolog, ale nikt go tu nie widział.

■ W lepszej sytuacji są nauczyciele — w Bogutach jest dom nauczyciela. Po zakończeniu rozbudowy szkoły będą jeszcze trzy mieszkania. Również mieszkańcy wsi, w których budowane są w czynie społecznym szkoły, nie popędzają błędów architektów służby zdrowia i wraz ze szkołami szykują też mieszkania. Tak dzieje się m.in. w Zawistach, gdzie trwają roboty wykończeniowe. Mieszkania planowane są również w budowanej szkole w Białych Szczepanowicach, podobnie będzie w Tymiankach, gdzie powstał Komitet Budowy Szkoły.

■ Sporym zainteresowaniem mieszkańców gminy cieszą się wystawy zagranicznych ośrodków kultury, działających w Polsce. W pamięci bodaj najbardziej utkwiła prezentacja sztuki ludowej z Chin.

■ Zaczęły się dostawy świątecznych artykułów do miejscowych sklepów. W ubiegły czwartek była dostawa cytryn i pochodzących z Chin, orzeszków ziemnych i włoskich, a także brakującego ostatnio oleju sojowego. Przy takich okazjach najlepiej widać, jaka ciasnota panuje w sklepach. Całe szczęście, że kupujący i sprzedawcy nie

mogą być wzorem właściwego zachowania w tak trudnych warunkach.

KLUKOWO. Wcale nie świątecznym ale nadal rarytasem jest węgiel. W ubiegły czwartek była dostawa tego paliwa na plac opałowy gminnej spółdzielni. Rano na społecznej liście zapisanych było 108 osób. Obowiązuje zasada, że dla przedstawiciela gospodarstwa sprzedaje się najwyżej 3 tony węgla. Dodatkowo gmina została podzielona na cztery rejony. Mimo to daleko jeszcze do zaspokojenia potrzeb. Według obliczeń GS-u 1 grudnia brakowało 3500 ton węgla. Zapowiedziane dostawy do końca roku opiewają na 600 ton. Nadal jest wiele nieporozumień w związku z rozdziałem węgla rodzinom wielopokoleniowym. Czy emeryci zamieszkujący wspólnie z rodziną mają prawo do oddzielnego przydziału węgla? W 1983 roku w gminie sprzedano 460 ton węgla, w tym 700 ton bez reglamentacji. W tym roku sprzedano już ponad 5000 ton, a ciągle go brakuje.

■ Nie ma chętnych do pracy w charakterze sprzedawców, magazynierów, piekarzy, przy pracach przeładunkowych. Córki i synowie rolników chcą pracować w biurach. Czekamy na gasterbeiterów?

■ Niestety, ci, co coś robią, też nierzadko fuzerują. Przykładem rozbudowa i modernizacja piekarni. Ciechanowiecki OBM pozostawił tyle usterek, że nie można uruchomić urządzeń. Nie będzie więc chleba z tej piekarni na święta. Oby sąsiedzi nie odmówili pomocy.

■ Z przełamaniem gospodarczego impasu boryka się też Gminna Spółdzielnia, gdyż jeśli zarobi na handlu stalowymi belkami, to straty przynosi jej transport wapna. Deficytowe są też usługi. Przed rokiem działał zakład mechaniczny, ale zamknął podwoje. Zatrudnionym tu pracownikom nie chciało się, i to dosłownie, pracować, mimo że mieli nieograniczone możliwości zarobku.

Zakład Usług Poligraficznych „XERODRUK”
Łomża, ul. Raginisa 14a, tel. 31-56,

WYKONUJE

formularze, druki reklamowo-handlowe, (metki, etykiety, pisma firmowe i inne), nadruk na papierze pakowym (max. format B3), w szerokiej gamie kolorów oraz odbitki xero.

K-6623

Rejon Dróg Publicznych w Łomży

ogłasza

I — PRZETARG OGRANICZONY

1. Na sprzedaż ciągnika C-4011, nr pod. 31713, nr sil. 057332, rok budowy 1970 — cena wywoławcza — 197 820 zł
W przetargu mogą wziąć udział osoby, które posiadają zaświadczenie z Urzędu Gminy lub nakaz płatniczy stwierdzający posiadanie ziemi.

I — PRZETARG NIEOGRANICZONY

1. Żuk A09 nr pod. 1198281, nr siln. 407478 — cena wywoławcza — 143 640 zł
2. Star 660 nr pod. 130862, nr siln. 14526 — cena wywoławcza — 257 600 zł
3. Star C28 nr pod. 06126, nr siln. 25575 — cena wywoławcza — 321 300 zł
4. Nysa nr pod. 164294, nr siln. 833253 — cena wywoławcza — 100 800 zł (po wypadku).

W przeddzień przetargu osoby biorące udział winny wpłacić wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej na konto NBP 45001-837 O/Łomża lub w kasie RDP.

I przetarg odbędzie się w dniu 6.01.1987 r. o godz. 9.00 w siedzibie Rejonu Dróg Publicznych w Łomży przy ul. Sikorskiego 156. W przypadku niesprzedania ww. pojazdów w I przetargu, II przetarg odbędzie się w tym samym dniu o godz. 11.00

Pojazdy można oglądać na dwa dni przed przetargiem w godzinach 7.00—14.00.

Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

K-486

UWAGA KANDYDACI
na nauczycieli i wychowawców
zamieszkali na terenie województwa łomżyńskiego

Urząd Wojewódzki w Łomży
Kuratorium Oświaty i Wychowania wspólnie z Filią Oddziału
Doskonalenia Nauczycieli w Łomży

PROWADZI NABÓR

do Studium Pedagogicznego dla osób z wyższym i średnim wykształceniem, które od 1 września 1987 roku podejmą pracę jako nauczyciele i wychowawcy w szkołach i placówkach oświatowo-wychowawczych województwa łomżyńskiego.

Zajęcia w Studium rozpoczną się w styczniu 1987 roku i będą organizowane systemem zaocznym ze zjazdami, dwa razy w miesiącu, w soboty i niedziele.

We wrześniu i październiku 1987 roku przewidziana jest praktyka pedagogiczna. Termin zakończenia zajęć i uzyskania kwalifikacji pedagogicznych — listopad 1987 roku.

Świadectwo ukończenia Studium Pedagogicznego otrzymają tylko te osoby, które podejmą pracę w szkołach i placówkach oświatowo-wychowawczych na terenie województwa łomżyńskiego od 1 września 1987 roku, pozytywnie zaliczą praktykę pedagogiczną i zdadzą egzaminy przewidziane planem Studium.

Komplet dokumentów obejmuje:

- ◆ podanie o przyjęcie do Studium Pedagogicznego,
- ◆ życiorys,
- ◆ świadectwo lekarskie o przydatności fizycznej do zawodu nauczycielskiego,
- ◆ odpis dyplomu ukończenia studiów (dotyczy osób z wyższym wykształceniem),
- ◆ oryginał świadectwa dojrzałości liceum ogólnokształcącego, technikum zawodowego lub liceum ekonomicznego (dotyczy osób ze średnim wykształceniem),

należy składać do Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łomży, ul. Nowa 2, pokój 305 do 15 stycznia 1987 roku.

Do Studium nie będą przyjmowane osoby, które ukończyły licea zawodowe, licea ogólnokształcące dla pracujących i technika zawodowe dla pracujących (zaoczne, korespondencyjne).

Szczegółowych informacji o warunkach przyjęcia i organizacji Studium udziela Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łomży, tel. 41-24.

K-485

PREZYDENT MIASTA ŁOMŻY

informuje

że w dniach 1987-01-02—1987-01-23 będzie wyłożony do wglądu projekt programu rolniczego i leśnego wykorzystania gruntów przeznaczonych na cele nierolnicze i nieleśne.

Zainteresowani winni zgłaszać się do Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Miejskiego w Łomży, ul. Turlejskiego 10a w godz. 9.00—13.00. Właściciele gruntów objętych programem zostaną pisemnie powiadomieni o projekcie programu w celu zgłoszenia uwag i podania informacji o dotychczasowym stanie zagospodarowania swych gruntów.

K-468

Wyrazy współczucia
Kol. EWIE LOGWINIUK
z powodu zgonu
MATKI

składają:
Zarząd oraz pracownicy
Banku Spółdzielczego w
Łomży.

K-484

Wyrazy szczerego współczucia
Kol. KRYSZTOFIE GRZONEK
z powodu zgonu
TEŚCIA

składają:
współpracownicy Państwo-
wej Inspekcji Handlowej
Oddział w Łomży.

K-6612

Wyrazy szczerego żalu
i współczucia
Koleżance BARBARZE
BIEDRZYCKIEJ
z powodu śmierci
TEŚCIA

składają:
Dyrekcja i współpracownicy
RSW „Prasa-Książka-
Ruch” PUPiK O/W w
Łomży.

K-483

Wyrazy szczerego
podziękowania
Dyrekcji, kierownictwu oraz
współpracownikom
za okazaną życzliwość i
udział w pogrzebie
JANUSZA GRZELAKA

składają
rodzina.

K-6611

ogłoszenia drobne

ZAGINAŁ młody pies. Rudy, duże zwłające uszy, krótko ucięty ogon. Wiadomość: Łomża, tel. 46-13 — nagroda.

K-6626

M-4 w Łomży sprzedam. Oferta nr 6613, „Kontakty”, Świerczewskiego 7.

K-6613

ZATRUDNIĘ wykwalifikowane krawcowe. Tel. 60-62.

K-6617

ZGUBIONO prawo jazdy kat. BCD, nr 6884/76, Waldemar Baranowski, Łomża, Ks. Janusza 7/53.

K-6580

ZGUBIONO prawo jazdy. Wiesław Klimaszewski. Targonie Krytuły 24, 18-314 Zawady.

K-6581

ZGUBIONO prawo jazdy. ABT na nazwisko Krzysztof Demiechuk, Stara Łomża przy szosie 49.

K-6609

ZGUBIONO prawo jazdy kat. AB. Kazimierz Nagórka, Kolno, Proletariacka 12/22.

K-6616

SKRADZIONO prawo jazdy kat. AB, nr 4109. Józef Zając, Łomża, Śniadeckiego 5/14.

K-6619

ZGUBIONO prawo jazdy kat. BC, nr 10372/81. Lech Majewski, Łomża, Chopina 1/78.

K-6620

ZGUBIONO prawo jazdy. Jan Bajkiewicz, 18-520 Stawiski, Łomżyńska 14.

K-6622

ZGUBIONO prawo jazdy ABCT. Michał Wróblewski, Poryte 35, gm. Stawiski.

K-6625

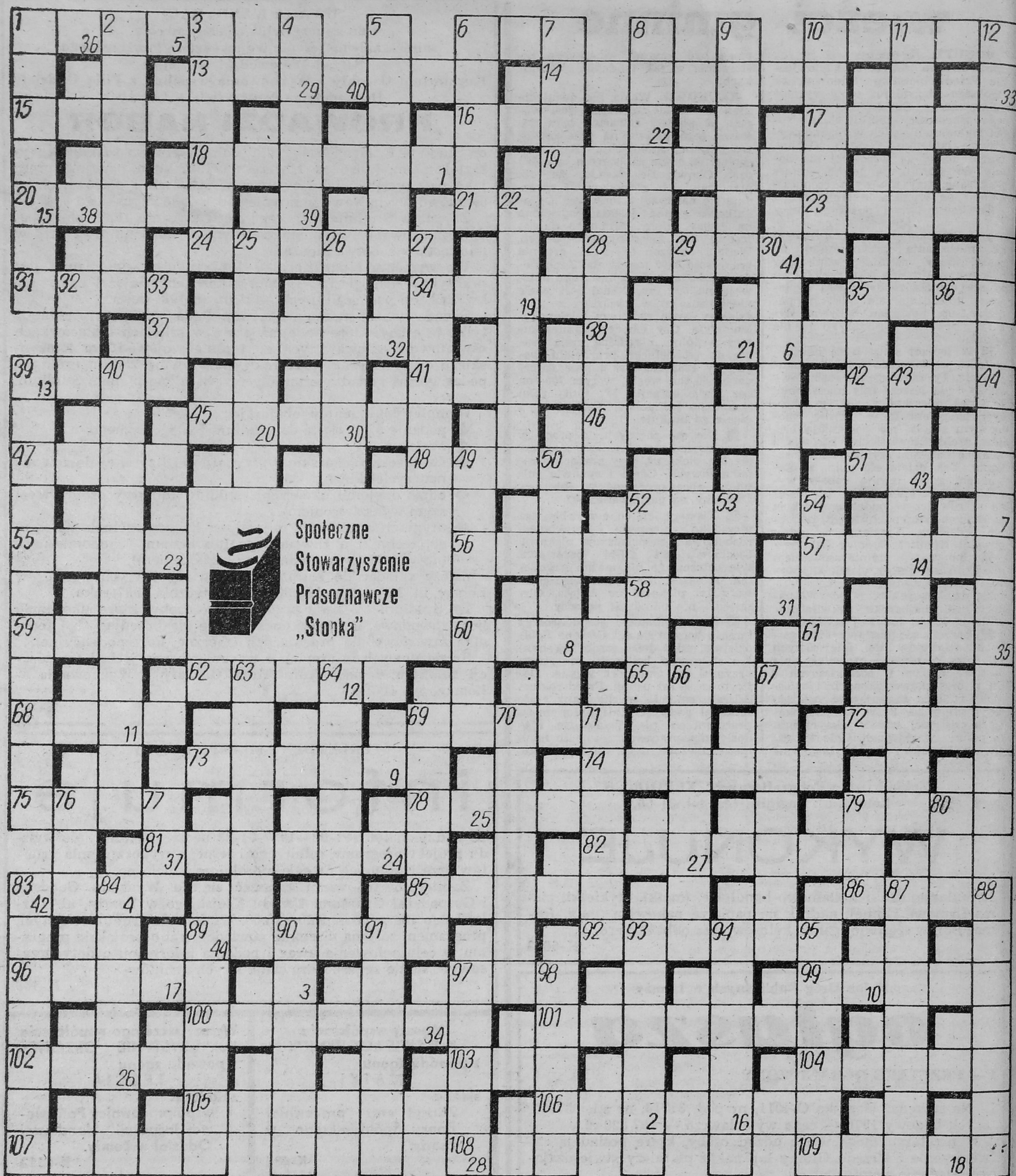
SKRADZIONO prawo jazdy kat. ABT. Marian Nicewicz, Łomża, Łukaszyńskiego 21.

K-6626

23
KONTAKTY
1986-12-21
1986-12-28

ADRES REDAKCJI: ul. Świerczewskiego 7, 18 400 Łomża
Tel. 41-24 (centrala), 40-22 (redakcja naczelny), 40-23 (redakcja korespondentów)
nago i sekretarz redakcji: Tel. 85-22-85 Wydział RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Białostockie Wydawnictwo Prasowe 15-959 Białystok, ul. Weso-
łowskiego 1. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne Zam. 1940/86 r. Nakład 30 000 egz. PL ISSN 0208-6840 Nr indeksu 36-328 Ogłoszenia przyjmuje
Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty”, 18 400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju.
Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumerata kwartalna — 195 zł półroczna — 390 zł roczna — 780 zł. Tekstów nie
zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótu i zmiany tytułów. R-2.

KONTAKTY



Po rozwiązaniu krzyżówki litery z krątek ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione od 1 do 44, utworzą dodatkowe hasło:

POZIOMO: 1) kobyła mleko, 6) z podgrupy platynowców, 10) podlega bacy, 13) ustronne, ciche miejsce, 14) imię żeńskie, 15) słodycz na patyku, 16) ziemia uprawna zasiała zbożem, 17) książkę Nowogrodu, założyciel dynastii, 18) zapas, 19) kosodrzewina, 20) namiot ludów tureckich i mongolskich, 21) spód, 23) reklamowy lub zapasniczy, 24) gol, 28) ciasto piaskowo-biskopowe, 31) starożytne liczydło, 34) powieść Gorkiego, 35) częśćka filmu, 37) wojskowa narada, 38) przygnębiający, straszny sen, 39) orzeź, 41) opakowanie pasty do zębów, 42) solny lub siarkowy, 45) przyrząd do świdrowania dziur w drewnie, 46) magmowa skała żyłowa o ciemnej barwie, 47) jeden z muszkieterów, 48) roślina — symbol zdrowia, krzepy, 51) kończyna, 52) ebrót na przyrządzie gimnasty-

cznym, 55) lista, rejestr, 56) związek chemiczny, pochodny kwasu i alkoholu, 57) państwo faraonów, 58) wąski, długi pas ziemi uprawnej, 59) sklepowy stół, 60) szlachetny metal, 61) poeta używający pseudonimu „El...y”, 62) górna część tchawicy, 65) rasa psa, 68) zewnętrzna pokrywa ściany domu, 69) upał, żar, 72) lisi ogon, 73) wiejskie biuro matrymonialne, 74) drzewa, krzewy, rośliny, 75) bóg wojny, 78) bardzo duży akwen, 79) niedźwiedzia kończyna, 81) dawniej podawano ją na znak odmowy ubiegającemu się o rękę dziewczyny, 82) oszczerstwo, kalumnia, 83) wypływa z krateru, 85) popis, parada, 86) urzędowe dokumenty, 89) warzywo, 92) kwesta, 96) pospolita ryba morska, 97) o prawca, tyran, 99) podłużna, okrągła z kremem, 100) napój sporządzony z mieszaniny alkoholów, cukru, owoców, 101) ruch obrotowy, 102) mała, pełna piłka kauczukowa, 103) mniszka buddyjska, 104) gnieździ się w kominie, 105) stoi na ciele rządu, 106) jednostka natężenia

światła, 107) rzymska bogini lasów i zwierząt, 108) margines boiska, 109) ubóstwo, bieda.

PIONOWO: 1) ogonek sklepowy, 2) ubóstwo, bieda, nędza, 3) brzdąc, 4) sposobność, możliwość, 5) w tygodniu, 6) opatrunek, 7) niedobór w kasie, 8) świnią pociecha, 9) węgierka, renkloda, 10) Stefan, znany aktor (1883—1945), 11) ciężka, wyczerpująca praca, 12) nożyce ogrodnicze, 22) znakomici obywatele, 25) pisemne sprawozdanie, 26) Łomża, Białystok, 27) miłośnik, zwolennik, 28) mistrzowskie pociągnięcie smyczkiem, 29) miejsce zamieszkania żołnierzy, 30) instrument Jankiel, 32) placówka gastronomiczna, 33) pociągowe zwierzę domowe, 35) spółgłoskowa wyspa Jugosłowiańska, 36) artretyzm, 39) ozdoba noszona na ręce, 40) opowieść, 43) noszona niegdyś dla umartwienia ciała, 44) duże zawody sportowe, 49) bufor, 50) i ona znajdzie swego amatora, 52) roślina leśna o różowoliliowych kwiatach, 53) naziemna

malpa wąskonosą, 54) słynny rzeźbiarz zakopiański, 63) przewrót, bunt, 64) rodzaj płaskiej teczki, 66) wyborca, ten, kto wybiera, 67) strolniś, modniś, 69) eks-Kujbyszew, 70) rodzaj szaradziarskiego zadania diagramowego, 71) roślina oleista, 76) matka bogów, 77) słynny kurtor belgijski, 79) wypływa z oka, 80) występuje na czołe w czasie ciężkiej pracy, 83) pokrywa Grenlandię, 84) ganek, 87) orszak, 88) amerykański stan, 89) licha klacz, 90) część ręki, 91) typ aktora, 93) telewizyjna na dachu, 94) prymitywne narzędzie do połowu ryb, 95) birmańskie Tatry, 97) fredrowskie imię żeńskie, 98) gościniec.

Wśród Czytelników, którzy do 4 stycznia nadesłały prawidłowe rozwiązanie (hasło), rozlosujemy nagrody ufundowane przez Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka” w Łomży.